

„Gniewińskie Pióro 2020”

ALMANACH POKONKURSOWY



Grafika wykorzystana na okładce:
Str. 1 – rys. **Barbara Odyniecka**
Str. 2 – z archiwum Gminy Gniewino –
Wieża widokowa w kompleksie „*Kaszubskie Oko*”

Korekta:
Hanna Grzybowska

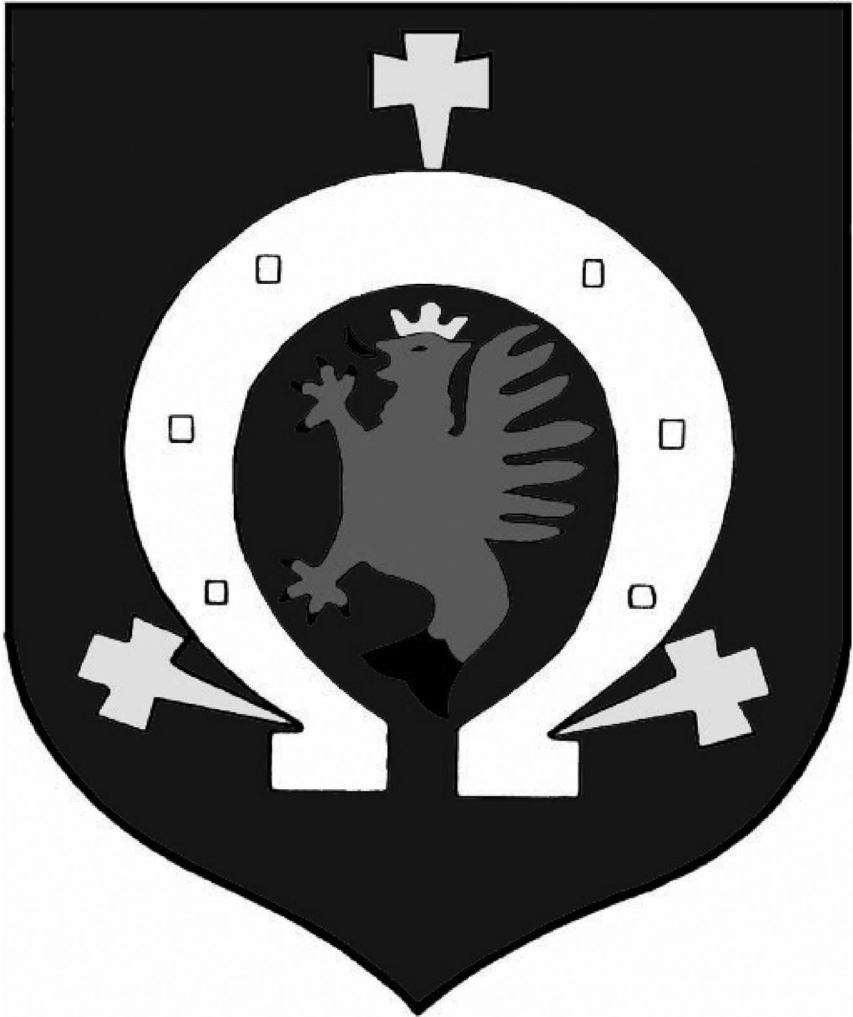
Redakcja i skład komputerowy:
Mirosław Odyniecki

Druk:
Drukarnia Eikon Plus
Kraków

Wydawca:
Wydawnictwo „MS” Wejherowo
Tel. 58 672-51-53

Nakładem:
Starostwa Powiatowego w Wejherowie
Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Biblioteki w Gniewinie

ISBN
978-83-65092-34-2



**PROTOKÓŁ z posiedzenia Komisji
XIX OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO
„GNIEWIŃSKIE PIÓRO”
z dnia 15 września 2020 r.**

W dniu 15 września 2020 r. odbyło się posiedzenie Komisji XIX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „GNIEWIŃSKIE PIÓRO”. Organizatorem Konkursu było Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Biblioteka w Gniewinie, a patronowała mu Rada Gminy Gniewino.

W konkursie wzięło udział 329 uczestników z Polski oraz z zagranicy (Belgia, Litwa, Irlandia, Niemcy, Wielka Brytania, Słowacja). Jury oceniło 179 zestawów poetyckich oraz 142 teksty prozatorskie w dwóch kategoriach wiekowych: dorośli i młodzież. Ośmiu uczestników zdyskwalifikowano (tylko wersje elektroniczne prac bez kart zgłoszeniowych, tylko karta zgłoszeniowa i pusta płyta CD bez godła, brak oznaczeń pozwalających zidentyfikować autora).

Komisja w składzie:

1. Wioletta Majer-Szreder - przewodnicząca, poetka, dr literaturoznawstwa, nauczyciel polonista,
2. Anna Jastrzębska - nauczyciel polonista,
3. Ewa Haberka - nauczyciel polonista,
4. Dorota Zadroga - nauczyciel polonista,
5. Róża Szymikowska-Metz - nauczyciel polonista,
6. Mirosław Odyniecki - poeta, satyryk, dziennikarz.

nagrodziła w poszczególnych kategoriach następujące osoby:

• **KATEGORIA: POEZJA - DOROŚLI:**

- 1 miejsce** (778 zł brutto) - godło „Zielona” – Urszula Lewartowicz, Lublin
2 miejsce ex aequo (556 zł brutto) - godło „Nikifor” – Janusz Pyziński, Podgrodzie
2 miejsce ex aequo (556 zł brutto) - godło „Wierszolas” – Krzysztof Przegiętka, Toruń
3 miejsce (334 zł brutto) - godło „Zbieracz słów” – Agata Oriana Kwahs, Gdynia

wyróżnienie (112 zł brutto):

- ⇒ godło „Tańczący z czasem” – Adrian Dworakowski, Gdańsk

Wyróżnienia w formie wydrukowania utworu w almanachu pokonkursowym:

- ⇒ godło „Zabki przypadek” – Alicja Lampa, Warszawa
⇒ – za wiersz „*** na każdym balkonie nowela z życia”
⇒ godło „Smugi” – Edyta Wysocka, Miastko
⇒ – za wiersz pt. „Kwilenie, czyli nudna historyjka”
⇒ godło „Alabaster” – Wojciech Roszkowski, Nowy Sącz – autor cofnął zgodę na publikację wiersza
⇒ godło „Martynika” – Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska
⇒ – za wiersz pt. „Chleb z wodą i cukrem”
⇒ godło „Jednorazowa maseczka niemedyzna” – Rafał Baron, Gdańsk – za wiersz pt. „Dekady”
⇒ godło „Migdał” – Agnieszka Marzec, Bielsko-Biała
⇒ – za wiersz pt. „Wreszczie”
⇒ godło „Heweliusz” – Monika Borkowska-Szmit, Kraków
⇒ – za wiersz pt. „Dwie sekundy wolności”
⇒ godło „Śpięta na piętach” – Olgierd Wąsowicz, Warszawa – za wiersz pt. „Po wojnie”
⇒ godło „Lepiejniebędzie” – Krystyna Czarnecka, Koszyce
⇒ – za wiersz „Wierzba pięciopręcikowa żyje osiemdziesiąt lat”
⇒ godło „Żerdź” – Anna Piliszewska, Wieliczka
⇒ – za wiersz pt. „Wycinanki wotyrińskie. Karpiele”
⇒ godło „Stolarz1984” – Tomasz Albecki, Reda – za wiersz pt. „Wejherowo”

• **KATEGORIA: PROZA - DOROŚLI:**

1 miejsce (778 zł brutto) – godło UNAPISZTIM – Adam Jarosław Baliczek - „Saga o chrzcie”, Białystok

2 miejsce (556 zł brutto) – godło ZAWIGOST – Tomasz Figiel, Kraków - „Legendy zawichojskie”

3 miejsce (334 zł brutto) – godło KULIŻAK – Szymon Kulig, Legionowo - „Bezprym”

wyróżnienia (112 zł brutto):

⇒ - godło MADRIGAL – Paweł Fleszar, Łańcut - „Zapach placka z wiśniami”

⇒ - godło STOKROTKA40 – Dorota Bukowska, Leżona - „Dziękuję za miłość”

⇒ - godło JEŻYNA – Maria Polaczek, Tarnów - „Dom na wzgórzu”

• **KATEGORIA: POEZJA - MŁODZIEŻ:**

1 miejsce – *nie przyznano*

2 miejsce – *nie przyznano*

3 miejsce – godło „MajKa” – Karolina Majorowska, Warszawa, 14 lat – za zestaw wierszy

wyróżnienia:

⇒ godło „Mikson” - Mikołaj Ślemp, Goczałków, 13 lat – za wiersz pt. „Biało-czerwone dojrzewanie”

⇒ godło „Słowik” - Anna Wojno, Kobyłka, 15 lat – za zestaw wierszy

⇒ godło „Stokrotka” - Dominika Liszkiewicz, Piła, 16 lat – za zestaw wierszy

• **KATEGORIA: PROZA - MŁODZIEŻ:**

1 miejsce – godło „Amelia” – Amelia Izabella Chwist, Sosnowiec, 17 lat – za opowiadanie bez tytułu („marzec’20”....)

2 miejsce ex aequo – godło „Wisteria11” – Justyna Hyrczel, Breń Osuchowski, 17 lat – za opowiadanie pt. „Tarta wiśniowa”

2 miejsce ex aequo – godło „Justus J” – Mateusz Rymkiewicz, Częstochowa, 14 lat – za opowiadanie pt. „Leniwe rozmyślanie”

wyróżnienia:

⇒ godło „Dzika Róża” – Małgorzata Toporska, Poznań, 15 lat – za opowiadanie pt. „Aż się wypali”

⇒ godło „Woodstock” – Maciej Serżysko, Witkowo, 15 lat – za opowiadanie pt. „Niecodzienne rozwiązanie”

Nagrody finansowe dla dorosłych laureatów zostaną przelane na podane konta bankowe, a nagrody rzeczowe dla młodzieży, dyplomy oraz almanachy zostaną wysłane pocztą w terminie ok. miesiąca od ogłoszenia wyników.

Druk almanachu pokonkursowego został dofinansowany przez Starostwo Powiatowe w Wejherowie.

Gratulacje dla wszystkich laureatów XIX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Gniewińskie Pióro” i serdecznie zapraszamy wszystkich uczestników do udziału w następnej edycji Konkursu

Urszula Lewartowicz
Godło: „Zielona”, Lublin
I miejsce

Futra i koronki

Przyszłam na świat w dzień jasny,
Z jasną już wizją jutra,
Że kąt będę mieć własny.
I koronki. I futra.

Noc obnaża złudzenia.
Śniłam zatem nad ranem
Najpiękniejsze marzenia
Koronkowo-futrane.

Rozrastałam się śmiało,
Rozrastały się mrzonki,
Że otulą me ciało
Futra oraz koronki.

Cóż? Marzenia przegrałam.
Miał koronek i futer
Czyjeś serce dostałam
Lichym sukнем okute.

By zagłuszyć tęsknotę
Ciało co dzień oblekam
W koronkową robotę,
W ciepły kożuch od mleka.

Przymiarki do erotyku

Idziemy razem,
Dumnie, pod rękę,
By kupić dla mnie
Nową sukienkę.

I zaraz ciało
Me drżące tonie
W bezpiecznym, wstecznym
Prostym fasonie.

A ty klasyczysz
I się retroisz.
Tak mnie w tej kiecec
Się widzieć boisz.

Odważną potem
Przymierzam suknię,
Licząc, że serce
Twe mocniej stuknie.

Ty futuryczysz,
Ty awangardzisz,
Ty wstydiłbyś się
W to ubrać karnisz.

A potem mówisz,
Że najstaranniej
Twój przenikliwy
Wzrok leży na mnie.

Przed oczu lustrem
Ćwiczę więc pozy.
W zmyślonej sukni
Z rykowiskozy.

Odkąd zaczęłaś pisać wierszydła...

Odkąd zaczęłaś pisać wierszydła,
I twarz ci zbrzydła, i malowidła.
Lśniące oczęta okryły wory.
Zawiódł cię, miła, krem z metafory.
Jamby, trocheje i amfibrachy
Spod gładkiej jęły wyrastać pachy.
Po latach zdjęłaś swe ślubne klipsy,
By stylistyczne kreślić elipsy.
Kibić tak smukłą, że niepojętą
Pod efektowna ukryłaś puentą.
Z brzucha wyjęłaś drżące motyle,
O poetyckiej ich plotąc sile.
I choć przychodzi mi to dziś trudno,
To taką brzydką, taką paskudną
Miłować muszę wciąż nieprzytomnie,
Bo każdy wers jest z miłości do mnie.



Janusz Pyziński
Godło: „Nikifor”, Podgrodzie
II miejsce (ex aequo)

W ramionach

dość hotelowa trwa piętnaście minut.
tyle wystarczy, by wtopić się w nieobecność,
albo w każdą inną porę zmiętego prześcieradła.
zaciągnąć kotarę na widoki z okna,
przesypać pytania w dym z papierosa.

być blisko, aż zrobi się późno, najbliżej jak można.
bez świadków i targowań. przecież kocha się na zawsze,
przez piętnaście minut, potem wybacza każdemu kto winien,
bo bliski jest kolejny koniec świata. migracja żab na autostradzie.
podróże po spełnienie w hotelowym lustrze nadziei na jeszcze.

dziewczynki z zapałkami, chłopcy z placu broni.
przecieki z towarzyskich portali baraszkują, bawiąc się w chowanego.
nieukończony dom spija pot z wahadła temperatur, rdzewieje więź
na skraju łóżka i przepaści. arkadia sklecana pospiesznie ze znaczeń
zagojonej blizny pamięci ukochanych imion. puste ramiona mroku.

Hybryda

język jest mostem między nami, ślina rzeką. trudno
zrozumieć, że jest stróżem ognia drzemiącego na brzegu
warg. trudno przełknąć coś, co jest kamieniem z dna
metafory. struną, która nie pęka podczas mocniejszych
akordów przekraczania dystansu. nikt nas nie uczył
co to bliskość znaczone stukaniem klawiatury. odkąd
nie pamiętamy o sobie, namierzamy linki tarasujące
drzwi przed otwarciem na dwoje. o dwa kroki do rajy,
skąd sączy się noc ekranu. martwe trzewia natury.

Echo

jesteś tak mocno wrośnięta w nieobecność, że już nie pamiętam pierwszej doznanej chwili, ani kroku powtarzanego jak mantra w krwioobiegu godzin samotności. i chociaż język rozplywa się w wiośnie, milczysz o wszystkich śniegach z czterech pór powrotu, gdzie wszystko takie samo szare, jak ołówki córki.

myślę o tym, jakby mogło być, pośród zatrzaśniętych w tobie ścian tamtymi drzwiami, między kropką nad i a tęsknotą. otwarta na każdy oddech, jak skrzydła anioła na wiatr, na każdy skowyt w neuronach, czekasz na kolejny antrakty pulsującej skroni, w embrionalnej pozycji do świtu.

strach uprawia życie, otwiera na oścież rany. oswajasz samą siebie, wklejając w okno perspektywę jutra. budzisz się zbyt głośno, z poplątanym wątkiem podróży w nieznaną w jedną tylko stronę, nie wiadomo którą. mokry ślad na poduszcze marzeń. stały ład przystani, z echem wzburzonego morza.

Pamięć

pamiętam dudka z dziupli starej czereśni,
i historie z miejsc zdeptanych bosymi stopami.
zimne dłonie ogrzewające martwe truchła piskląt,
groby kotów i lalek o imionach z bajek.
zaschniętą krtań, i płetwy ryb w zębach rzeki,
niesionej po grzbietach kamieni
na przeciwległy brzeg egzystencji.

widziałem wiele śmierci, i świtów ostrzących brzytwy
na paskach nieskazitelnej czerni. słyszałem świst bata
krojący chleb dla dzieci, piszących wiersze o wojnie.
o wszystkim, co zostało w nas najtrudniejszą pustką.
wiodły mnie pokrętne ścieżki w wietrzne sny
o galicyjskiej ziemi spowitej w welony, których nie ma
nigdzie indziej. nawijające na szpulę dwukolorowy film.

najciekawsze z amplitud najprawdziwszych chwil.
imion wpatrzonych w parujące talerze, i przebity bok
brzozy, z której uciekało życie uzdrawiającą wodą.
i ojca głos, jak skwirczenie knota zanurzonego w nafcie.
zmartwychwstający we mnie martwą nocą, kiedy oddycham
najpiękniejszym wierszem, odmierzającym czas na krzyżu
słonecznym, robiąc miejsce temu, co jeszcze przed nami.

place zabaw, huśtawki nastrojów. rzeczy które się lubi,
i których się unika. wrośnięte przytulią w ściany domu,
i których nigdy nie zrobię. niedorośle do odpowiedzi,
dorosłe do pytań, jaki jest odpowiedni moment na wyrastanie.
z krótkich spodenek, wierszy, z siebie. rozedrganą gestykulację
odziedziczyłem po burzliwym dzieciństwie, w którym
przyszło mi urządzić pogrzeb kota.

potem to już tylko konsekwencja zamierania tkanek,
kureczenia się świata do rozmiarów zakurzonego ciepła,
w obcym mi pokoju. zimna ziemia i ciemna sierść kota.
zlewają się barwy nocy w punkt wyjścia. jedyne miejsce
do którego się wraca po omacku. zapalasz papierosa,
i wszystko gaśnie. dym przylega do światła, jak bandaż
do rozległej rany, jak garb do pleców, śmierć do życia.



Krzysztof Przegiętka
Godło: „Wierszolas”, Toruń
II miejsce (ex aequo)

Chwila

Wieś wdziera się do miasteczka cichaczem, opłótkami.
Administracyjne tablice strzegą tylko dróg głównych.
I gdybym przeniósł się teraz w sam środek rynku,
to w dali niknących ulic dostrzegłbym: lasy, pola
i ten wóz, który właśnie przejeżdża obok mnie.
Tu, gdzie stoję jest ze mną łagodne brzęczenie dzwonów.
Z nieba spływa święty zapach wiosennego dymu.
Dystans wygładza zmarszczki na facjacie kościoła.
Kwietniowe słońce głaszcze ziemię swoim ciepłym blaskiem.
A ciemne plamy chmur białych gonią stado saren. Czas wsiąka w tło
wieczności.
Tak trwa, póki się nie poruszę, budząc go.
Niechający.

Sztutowo

Nic takiego, tylko ten dym.
Czarny i mdlący jest inny.
A drzewa - jak reszta drzew.
Chmury też - takie, jak zawsze.
I nawet ziarna piasku mają tu
całkiem zwyczajny kształt.
Minęły dziesiątki lat.
Tak, to właśnie tutaj
palono tysiące ludzi.
Skansen przedstawia dowody
i usypia zmysły.

Co czujesz w tym miejscu?
Już bez dymu i brudu,
bez głodu i bez śmierci.
Czy przestrzeń
nasiąknięta cierpieniem
na zawsze drga inaczej?
Oni też nie rozumieli
obojętności świata.
Dziś morze szumi za lasem
zupełnie tak, jak wtedy.
Jedynie mewy płaczą.
Ale niektórzy mówią,
że po prostu się śmieją.

Zegarek ojca

Spójrz – jak żwawa sekunda
dogania swą siostrę, minutę.
Ta zaś znowu prześciga
ociężałą godzinę.
A wszystko to się dzieje
na cyferblacie zegarka,
który przed wielu laty
podarował mi ojciec.
Chciał, żebym oswoił
sobie czas.
Czyż nie wiedział,
że czasu nie można oswoić?
Sekundy, minuty, godziny
regularnie krzyżują
swe ostrza na tarczy.
Jeśli przyłożysz ucho,
usłyszysz miarowe:
ciach-ciach.
Tak nożyce czasu
bezustannie skracają

to, co jeszcze zostało:
kwiatom na oknie,
naszemu kotu,
mnie, tobie
i gwiazdom na niebie.

Sosny sen

A cóż, jeśli jestem snem tej sosny wysokiej,
Która potrzebuje bym jej służył mym wzrokiem?
Nie może ona przecie widzieć sama siebie –
Pnia posągowego, co się wspina po niebie,
Konarów, jak czerwienią płoną o zachodzie,
Igieł osrebrzonych kryształami na mrozie.
Zaś kiedy leżę przy niej na opłatkach kory,
Mój sen żywiczny wabi jej marzeń pozory.
Czuję się wtedy cudnie niezakorzeniony.
Mogę zerwać się, pobiec gdzieś w dalekie strony.
Gdy ona kiedyś padnie tu, gdzie się rodziła...
Dalej gna Ziemia – nasz dom i wspólna mogiła.



Agata Oriana Kwahs
Godło: Zbieracz słów”, Gdynia
III miejsce

Babki

Mają gorejące ślepia
stają za mną

krzyk niemych ust
wibruje w czaszce
odbierając słowikom głos

stawiam im kwiaty na grobach
tłumaczę, że nie chcę
inne czasy, mam prawo

wybite zęby i pokrwawione spódnice
domagają się pamięci, lojalnie niesionego losu
wykorzystania szans

to dla was są słowa piosenek, dyplomy uczelni
podróże na plaże Majorki
zdjęcia w londyńskich muzeach

żeby było inaczej niż kiedyś
gdzie tylko zasmarkane nosy
gęby do wyżywienia i mężczyźni
z ciężką ręką i słabą głową

wykaszlane płuca gdzieś na wschodzie
przyklejanie znaczków na poczcie

ostatnia dobra sukienka z wełny
i oficer co patrzy tak beczelnie w oczy
a ty mdlejesz i mdlejesz
ale nie podchodzi

to dla was ubieram turkusowe buty
siadam w kawiarence z karmelowym latte
opalam się w bikini
i mam trzydzieści par butów

jestem wasza i swoja
nielojalnie nowa

Katedra

ostrołuki gałęzi
zielone sklepienie
buki zamiast kolumn
podtrzymują chmury

za chwilę, następną
przegna wiatr lub tchnienie

gałąź, co z życzliwości darła ci kolana
mchem zarosnie bezgrzesznym
no bo innych nie ma

wizerunki świętych objawią się w korze
strumień ma tyle wody do zamiany w wino
że nie pomieści tego żaden skromny kielich
cicho gadają liście, prawie po łacinie
a dzięcioł trzy razy stuknął w konfesjonał

dał mi za pokutę dokarmianie ptaków
szepitanie do kwiatów w betonowym mieście.

Mirabelki

Lepkie od upału
trafione dziobem gawrona
toczą się po trawniku
w lipcowy poranek

najsłodsza znika w kieszeni

zostaw, pobrudzisz ręce
z tego robiło się kompot
dawno temu, jak niczego nie było
tylko ocet w sklepach

wyrzuć
nie jedz
pewnie brudne
jakieś ptaszysko dziobało

mama tego nie zbiera
nawet jak pachną babcią Helą
dżemem i kompotem
wakacjami u starych ciotek

no już, oddaj, nie psoć
stać nas na pomarańcze córeczko

Odrodzona

Wracasz na właściwe miejsce
do oblażącej z farby kapliczki

zapłakanych oczu
podobno nie da się przemalować

taki wyraz twarzy
zdarza się pod krzyżem
każdej kobiecie

ręka która wskrzesiła kolor
odtworzyła węża pod stopą
gwiazdy i róże
działała zgodnie z Twoją wolą

na atrakcyjną częściej patrzą
wie to każda kobieta

pora modłów do odrodzonej i świetlistej
nastanie z nowym majem
a bzy dookoła zabiją zapachem
większość grzechów głównych

pocieszycielko niepocieszonych
załóż nam na głowę
niebieski płaszcz
niewinności.



Adrian Dworakowski
Godło: „Tańczący z Czasem”, Gdańsk
Wyróżnienie

Patologia ciąży

Ciąży mi głupota hasająca wokół
Bezczelnie zbyt szybka, by za nią nadążyć,
Ciąży każdy łajdak stawiany na cokół,
Intelektualna patologia ciąży

Ciążą mi te kłamstwa rzucające w powietrze,
Bogu ducha winnych gotowe pogrążyć.
Ciąży mi ta duszna i zamknięta przestrzeń
I emocjonalna patologia ciąży

Ciążą mi te ręce składane na pokaz,
Krople, które nie chcą żadnej skały drążyć.
Ciąży mi to ślepe bujanie w obłokach
I metafizyczna patologia ciąży.

Zapiski pośmiertne

A kiedy spotkałem świętego Piotra,
Siwego starca z dostojną brodą,
On do mnie powiedział:- Tyś kawał łotra!
Zapytam szefa, co zrobić z tobą.

– Nie byłeś nigdy przesadnym ascetą.
Raczej hulaką, co rozkosz smakował.
– Ja jestem tylko wrażliwym poetą,
Co rzeczywistość zamykał w słowach.

– Jesteś więc chłopcze na zguby skraju,
Na całą wieczność będziesz przeklęty.
Poeci nie mają wstępu do raju,
Bądź gotów na piekła ogniste odmęty.

– Każdy poeta to bałwochwalca,
Sam siebie fałszywie nazywa profeta,
Ma się za bytów astralnych bywalca,
A tylko Bóg jest prawdziwym poetą!

– Safona, Wergiliusz czy taki Horacy
Nie przeszli na drugą stronę przez bramkę,
Szymborska, Wojaczek lub choćby Witkacy
Pocałowali tu tylko klamkę.

Poczułem ciężar okrutny na duszy,
Usta nabrzmiały obłądnym bełkotem.
Wizja koszmarnych, piekielnych katuszy
Sprawiła żem zalał się zimnym potem.

On wtedy me wiersze poddał lekturze
Ze śmiechu się zatrząsł jak galareta.
– Ty możesz zostać u nas, na górze
Bo tyś grafoman jest, żaden poeta.

Chocholy

Słońce znieacka zaszło na wschodzie,
Enigmatycznie gra światło z cieniem.
Kluczą postaci w tym korowodzie
Między istnieniem a nieistnieniem.

Ruszyły do tańca upiorne istoty,
Gdy środkiem nocy coś głucho zawyło.
Jakiś nieszczęśnik zgubił róg złoty,
Inny śmiertelnie zaraził się kiłą.

Brodzą przez ciemne marazmu kałuże,
Płasają w transie ruchome rzeźby
Magicznych obrzędów jak nocni stróże
Pilnują zakłętę, posępne wierzby.

Latarnie przez ciemność próbują się przedrzeć,
Co chwilę słabnąc pod nocy naporem.
Ktoś za niebawem zawiśnie na drzewie,
Daremnie czekając na Wernyhoreę.

Pomniki

Przemówiły dnia pewnego z cokołów pomniki.
Wyszło, kto był bohaterem, kto zwyczajnie nikim.
Kto w pakt z diabłem się układał pod sztandarem glorii,
Kto na śmietnik winien trafić, a wszedł do historii.
Kto charakter miał niezłomny, a kto się ugiął,
Kto miał w sobie wojownika, a kto skurwysyna.

Rozwrzeszczały się pomniki w kwestii sporów dawnych.
Každy z nich chciał przekonywać o słuszności swojej prawdy.
Gwar się rozległ niesłyszany od niespójnych wizji,
Zaczął się festiwal kłamstw i hipokryzji.
Jeden całkiem się zapętlił w swojej mowie pustej,
Inny szybko się okazał nikczemnym oszustem.

Władza, która zwiodła lud otumaniony
Pisze własną wersję zdarzeń lat minionych.
Gdy tylko udaje dojść jej się do głosu,
Stawia na piedestał swych własnych herosów.
Wytną fakty niewygodne, inne jakoś zmieszczą,
Krağ fałszywych, płatnych wieszczów przepowiada przeszłość.
A tłuszcza się zawsze pokornie pokłoni,
Gdy klucz do historii dzierzysz w swej dłoni.

Alicja Lampa
Pseudonim: Żabki_przypadek, Warszawa
Wyróżnienie w formie druku

na każdym balkonie
nowela z życia

kolorowe pranie
ze starej pralki

kwiatki w doniczkach
namiastka ogrodu

wrzask dzieci
pieśń wolności

głos telewizora
musisz to kupić

drobne naprawy
bo żona chciała

garaż dla rowerów
ciasno jak cholera

co balkon to wątek
oko na świat

czasem judasz

Edyta Wysocka
Godło: „Smugi”, Miastko
Wyróżnienie w formie druku

Kwilenie,

czyli nudna historyjka

Spróbuję ją jakoś ująć, chociaż to tylko mała powiastka. Będzie o niczym, bo jak lekki kurz, który po mikrym światku się snuje. Smugą bezbarwną błądzi, chociaż wszystkie drogi ma drożne, i w dawnym szeregu.

A może jednak coś umknęło? Był ON. I czym jest teraz? Drzewem, powietrzem, pieśnią? Kiedyś zatrzęsnał tu drzwi. W tamten niepokorny czas. Zostawił proch, sen, cień...

Smuteczek to, czy tylko bezradność odmierza swój puls? Jakby niepewnie, bo już bez retuszu. Upodabnia się do tła. Ale w porządku, można tak żyć. Powtarzać dni, przekładać na rzeczy, przedmioty, sprawy...

Więc mieszkam, jem, śpię, wychodzę, wracam. Słyszę żywe dźwięki, spotykam żywych ludzi, do kościoła, z kościoła. Mam oddech, siwiznę, wróble w ogrodzie, intelekt jakiś jeszcze. Więc jakby nic. Przecież wciąż miękko tu i ciepło. Są cztery ściany w przytulnej niszy, fotelowy spokój, prawo do samej siebie, cichutkie wigilie, kroki w górę, kroki w dół. A w kącie lokator, pająk-kątnik, swą siateczkę przedzie. Dyskretny, usunięty w cień...

Więc wszystko na uwięzi nawyków. Takie drobiazgi zwane życiem. Taki spokój, co cichuteńko kwili.

Jerzy Fryckowski
Godło: „Martynika”, Dębica Kaszubska
Wyróżnienie w formie druku

CHLEB Z WODĄ I CUKREM

Najlepiej mieli ci którzy mieszkali tylko w pokoju z kuchnią
mogli raz na jakiś czas oglądać seksowne wydęte usta Brigitte Bardot
i następnego dnia w szkole być gwiazdą długiej przerwy
gdy nie istniała jeszcze akcja Szklanka mleka

Cenzura nie pozwoliła nam poznać marki samochodu
jakim rozbił się James Dean (musiał być szybszy od syrenki)
w kolejnym komunikacie prasowym
podano tylko numer peronu z którego Cybulski wpadł pod pociąg
to jedna z niewielu spraw jakich nie rozwiązał porucznik Borewicz

Kiedy rozbił się Gagarin pozwolono nam uroczyście płakać
i czerwonym wkładem z czterokolorowych długopisów
malować na przedramieniu pięcioramienną gwiazdę

Na podwórkach rysowaliśmy patykiem trasę Wyścigu Pokoju
nadawaliśmy kapsłom nazwiska Szurkowskiego i Hanusika
po ostatnim etapie w żółtych koszulkach i czapkach z daszkiem
witaliśmy nasze matki które wracały ze sklepu mięsnego
jak żony wielkiego wodza ze skalpem ostatniego uboju

Zwycięzcy zamieniali w sobotę chleb z wodą i cukrem
na grubą pajdę z metką

Rafał Baron
Godło: „Jednorazowa maseczka
niemedyczna”, Gdańsk
Wyróżnienie w formie druku

Dekady

Dekada wychodzenia świata z kryzysu za mną, a teraz przez chwilę epidemia, w którą Me zdążyłem nawet uwierzyć i znów następna dekada wychodzenia a jakże, z kryzysu przede mną. Wszystko jest płynne jak zawsze i tak miało być, bo świat ma założycielskiego wirusa niestałości, więc nigdy nie jesteśmy do końca zdrowi, jedynie źle zdiagnozowani. Życiowe testy odbywają się codziennie. Nosimy w sobie wszystkie choroby, lecz czasami także i cuda – przez chwilę widzimy kulisy całego przedstawienia. To trwa krótko, dosłownie chwilę. A potem zasypiamy mamieni ustawicznym doganianiem dobrobytu, kolejnymi kryzysowymi narzeczonymi, z którymi dzielimy pokój z widokiem na niepewność.

Wszystko jest stałe, bo stale jesteśmy w tym samym miejscu.

Agnieszka Marzec
Godło: „Migdał”, Bielsko-Biała
Wyróżnienie w formie wydruku

Wreszcie

Porozgryzajmy dzisiaj siebie. Dla odmiany.
Zamiast pogrywania, żonglerki kąśliwościami.
Schowaj żądło, ja ukryję pazury. Weźmy na tapetę
cholerne dzieciństwo: twoje razy (nieraz) - na rękach,
tyłku i plecach. Sprawdzanie, jak puchną zawstydzone miejsca.
Moje na nogach i głowie. Rozbierzmy z siebie te wszystkie
nieutulenia, puste pokoje, zimne zupy przyprawione strachem
(pamiętasz, zastygały w przełyku). Głaszczmy. Najczulej i tak długo,
aż omdleją dłonie, zamkną oczy. Rany zabliznią się satynowym śladem

Monika Borkowska-Szmit
Godło: „Heweliusz”, Kraków
Wyróżnienie w formie druku

Dwie sekundy wolności

W małym, przytulnym pokoiku
Z wypolerowanym orzechowym stolikiem
Na ścianie wisi poźółkła fotografia przeraźliwie szczęśliwych ludzi.
Ale ona tego nie widzi.
Ze szpary w starej szafie spoglądają jej wielkie, zdziwione oczy.
Musi wspinać się na palce, by cokolwiek zobaczyć.

Każda chwila zdaje się być bliźniaczo podobna do poprzedniej.
Siedzi tam skulona dzień i noc,
Czekając na cud, który nie ma prawa się wydarzyć.
Stracone dzieciństwo na metrze kwadratowym.
Niemy krzyk przerażenia zastępujący beztroski śmiech.
Wyczekiwanie przeplatane z codziennym rozczarowaniem.
Niełatwo przeboleć taki zawód.
Poczucie własnej niemocy paraliżuje wiotkie ciało na diecie
obierkowej,
A dusząca samotność odbiera resztki sił i nadziei.

Nagle coś wrywa ją z pół-istnienia:
Słychać kroki na schodach,
Grzmią niczym stutysięczna armia.

– Dziecinko, która nigdy nie zazna pełni szczęśliwości, nie ruszaj się.
Pamiętasz, co mówiła mama? To zabawa: kto dłużej zostanie w ukryciu
ten wygra.
– A może to ona? Mamo, czy to ty? Czy to nareszcie ty?
– Dziecinko, która znasz głód i strach lepiej niż wesołe psoty,
Zostań w szafie.

Ale ona nie słucha i już uchyla drzwi.
Ilość powietrza przyprawia wątłą postać o zawrót głowy,
Promienie słońca trwale oślepiają.
Łapie wielkie łyki powietrza
– Jak dobrze...
Błady uśmiech wstępuje na ziemistą twarzyczkę.
Te dwie sekundy wolności warte są więcej niż cała wieczność.
Nawet wleczenie po schodach zdaje się być niezauważalne.
Zalewająca fala szczęścia zagłusza salwę z karabinu.
Umiera z zadowoleniem na ustach.

Olgierd Wąsowicz
Godło: „Spięta na piętach”, Warszawa
Wyróżnienie w formie druku

po wojnie

porządkowałam dziś rzeczy po tobie
daleka od dawnych wzruszeń a jednak
bliższa niż jeszcze przedwczoraj
niedopite fraszki w pudełkach po nabojach
frontowy szlafrok w który tyle razy wbijałam
granaty pięści i wycierałam ranną twarz
powycinane ze zdjęć dziury po kulach
jeszcze dymią twoim uśmiechem
a spirale dna o! te d o p i e r o się rozkręcają gdy
dzieci spazmatycznie wypłakują moje oczy
topię winę w winie ale nie tonię czyli
co? ma wisieć? miecz nade mną tępieje
gdy tak drży z niecierpliwości by ścinać
miłość aż nie zostanie z niej nic. ość.
niezliczone zatargi przestają się liczyć
zlewają się w rozlewny konflikt chociaż
na żywo nasze raniące do żywego przytyki
były d z i w n i e gęsto poprzetykane tkliwością.

Krystyna Czarnecka
Godło: „Lepiejniebędzie”, Koszyce
Wyróżnienie w formie druku

Wierzba pięciopęcikowa żyje osiemdziesiąt lat

z okupacją trzeba obchodzić się ostrożnie
zwłaszcza w wierszu. lepiej napisz o wierzbie,
gdy sarnom biegnącym przez wilgotną łąkę
ledwie sięga do brzuchów. kto zrozumie
biografię człowieka?

toczy się szklane oko po podłodze. nie śpij,
Józiu, nie śpij. to z okienka blask. jadą ciężarówki.
ojciec przyjdzie. nie da cię do trumny.
wyciągnie spod łóżka.

z pandemią trzeba obchodzić się ostrożnie
w wierszu. krematorium lepiej pominąć.
napisz o wierzbie. gdy rozpada się chlorofil,
nic nie będzie już zielone. kto zrozumie
biografię drzewa?

jadą ciężarówki. to z okna blask. nie śpij,
Józiu, nie śpij. jadą trumny. toczy się szklane oko
przez świat ku kapciom. nikt nie przyjdzie.
nie wyciągnie spod łóżka.

Anna Piliszewska
Godło: „Żerdź”, Wieliczka
Wyróżnienie w formie druku

wycinanki wołyńskie. karpiele

był stary. mówiono o nim,
że umie języki zwierząt. włóczyliśmy się za nim –
przyciągał nas jego spokój.

lubię wiedzieć – powtarzał, pieląc brukiew.
bywało: ściągał kusą kapotę – kładł się na niej
pod drzewem. gdy tak leżę i patrzę, darmo w głowie rachuję

dyndające owoce – jest ich więcej, niż gwiazd. nie jestem mądry
– nie starczy całego ludzkiego życia, żeby wszystko policzyć,
przeczytać, co napisano. nie starczy i kilku żyć. chciałbym

mieć mapy, książki... pytaliśmy go: – po co?,
lecz zwykle nie odpowiadał. wyciągał mały scyzoryk i kroił
karpiele w słupki – i nas równo obdzielał.

lubię słyszeć – powtarzał. kiedy zdmuchuję świecę i kładę się
na sienniku, niemal słyszę szumiące w nicość
morwowe drzewa – jedwabniki przędące. zdaje mi się, że widzę

mnożość pilnych gąsienic. ich szmer w liściach –
jak szept. śnię, lecz czuwam. bo przestrzeń opowiada się
Bogu i samej sobie – i jeżeli podsłucham, i jeżeli podpatrzę,

zrozumiem niewyjaśnialne.
gdy to, co niepojęte, w nagłym błysku olśnienia
okaże się oczywiste – zadrzę. spróbuję spisać: w dziupli ukryć pergamin,
bo potem...

co będzie potem?! – pytaliśmy. lecz znowu nie odpowiadał.
wyciągał mały scyzoryk i kroił karpiele w słupki – i nas równo obdzielał.

Tomasz Albecki
Godło: „Stolarz 1984”, Reda
Wyróżnienie w formie druku

Wejherowo

Lubiłem te wszystkie kaszubskie babcie
oglądające słońce w zenicie
na wejherowskim rynku.

Ten ekosystem, w którym wszyscy
byli jak *panofelek* – obgadani od A do Z
i znali się jak łyse konie.
I nie przeszkadzało, że ktoś miał przydomek
„szalony”, „bogaty” czy „dziwny”.

Wszyscy byli równi i czuli się jak u siebie.
Bez komórek, komputerów i masy
psychologicznych sztuczek.
Bez studiów, kariery i znajomości
piosenek smutnych raperów.

I bez depresji oczywiście.

A dzisiaj?

Adam Jarosław Baliczek

Godło: „Utnapisztim”

I miejsce

Saga o chrzcie

Wieść, że Halfdan powrócił, chyżo obiegła fiordy. Już tylko nieliczni pamiętali, jak przed laty bezwąsym młodzikiem z twarzą oblepioną krostami udał się był z błogosławieństwem ojca na viking¹ starą langskipą², a po prawdzie niewielką sneką³ w niespełna czterdzieści wiosła. Ruszył się więc kto mógł, i nawet z daleka, by dawnego Halfdana zobaczyć, choć był to już, co nie bez zdziwienia odkryto, nowy Halfdan – mąż w średnich latach, dostojny, z twarzą nader szlachetną, pięknie ozdobioną bliznami od oręża, a także tymi, które zadał czas oraz różnobarwnymi rysunkami tatuażów tworzącymi z owymi bliznami fantastyczne wzory...

Tak więc po latach jak wyliczono z górą dwudziestu, z podmuchami jesiennego sztormu powrócił Halfdan w trzy przepyszne knary⁴ wyładowane bogactwem rozmaitym i z towarzyszami w dużej części nowymi, jako że tamci w większości zasiedli już byli za stołem Odyna... Lecz dzielniejszymi nawet, bo odzianymi przystojnie w barwne kaftany i kolczugi długie, aż za kolana o twarzach również jak Halfdan udostojnionych bliznami, czasem bezokich, bezrękich czasem, a jednak budzących lęk, a z nim wraz i szacunek przynależny wojownikom...

I powitali go stary ojciec, matka i bracia i siostry i służba wolna i niewolnicy. Ojciec zaś, jarl okolicznych fiordów łzę nawet gorącą uronił i wnet też rozniosła się wieść, że sprasza stary jarl na ucztę wszystkich, którzy pragną widzieć syna jego, Halfdana, który powrócił, a także cieszyć się pospołu, jeść, pić i słuchać jego opowieści.

Poschodzili się więc zewsząd, z bliska i z daleka, mężowie i niewiasty, możni kmiecie i pomniejsi bondowie, starcy i dzieci niedorośle. I w długim domu poczęli się gromadzić, co dumą był jeszcze dziadów starego jarla, a Halfdan gości uprzejmie, acz z godnością witał, do stołu wiódł i usadzał podług znaczenia suto obdarzając też cennościami, które z sobą przywiózł... Tego pierścieniem, tamtego kubkiem złotym, owego orężem przednim..

Gdy zaś sobie dobrze podjedli i popili miodu, wina i piwa, uciszono grajków i popłynęła opowieść. O przeprawie przez morze okrutne i w górę rzek, aż do Gardarike⁵ i Miklagard⁶, o konungu Valdemarze⁷ i bitewnych przewagach cesarza Bułgarobójcy⁸, o dobywaniu miast, walkach w Serklandii⁹ i dalej gdzieś jeszcze, hen, na krańcach świata, a lało się przy tym obficie piwo owsiane i miód, i wino, a także wiele mocnego trunku zwanego bjorr, robionego z miodu i soku leśnych jagód... I pożywano też bez zbytniego umiaru barany i wieprze, a także mięso jagniąt pieczone na rusztach... A ludu wciąż przybywało, bo wieść, że Halfdan powrócił niosła się po fiordach i ci, co go nawet nie znali zapragnęli go ujrzeć, posłuchać opowieści, a także i dostać coś jeszcze w podarunku...

Mówił zaś Halfdan barwnie, a świadkami mu byli woje, co z nim przyplnęli, a z nich każdy śmiało stanąć mógłby i za dziesięciu, więc nikt, nawet i bardzo pijany nie pragnął mieć z nimi sprawy. I opowiedział też Halfdan, jak za zasługi i wierną służbę sam cesarz Bazyli złotem go nagroził, a dał mu go tyle, że je ledwie mógł dźwignąć, a na koniec zdjął jeszcze z własnej swej cesarskiej szyi drogocenny wisior, ten oto właśnie i nim go, obdarzył. Wtedy zapragnęli wszyscy dar ów cenny zobaczyć, a to był, jak się pokazało, wielki jak dłoń i natkany kamieniami barwy rozmaitej krzyż, a na nim człek rozpięty, nagi z wielkim kunsztem przedstawiony. Co bywalsi nieco o znaku owym i o nowym, zamorskim zwyczaju już zasłyszeli, lecz rzeczy na ogół nie bardzo ciekawe i dość niespójne, nadto zaś podane w kształcie tak podłym, że nikt o tym i słuchać nie chciał.

– Któż zacz? – zapytał ktoś śmiały, tykając paluchem postać z krzyża.

– Nie wiecie? – zdziwił się Halfdan. – Konung¹⁰ to wielce sławny, wielki i tęgi mąż, o którym opowiem wam, jeśli zechcecie słuchać, bo jak mniemam, wiecie o nim nic, lub rzeczy zgoła nieprawdziwe. Na imię jego wszyscyśmy musieli zaprzysiąc wstępując do cesarskiej służby. I to zaprzysiąc w ceremonii bardzo uroczystej co zowie się chrzest, a daje ona mężom moc w walce wprost niesłychaną, dzieciom zdrowie, zaś babom nadzwyczajną sprawność rodzenia!

– Opowiedz o nim! Opowiedz nam o tym bohaterze! – poprosili zgromadzeni.

– Zatem słuchajcie! Dawnymi czasy, żył w krainach dalekich sławny konung imieniem Jezus. Był to wielki wiking i żeglarz, co wzrostem przewyższał innych o dwie głowy. Miał potężny kark, mocarne łędwie i ramiona. Arcydzielnie robił toporem i wspaniale strzelał z łuku, a nie

było odeń lepszego w gonitwie po tarczach¹¹. A miał ci on hird¹², złożony z dwunastu bitnych huskarłów¹³, co już samym wyglądem budzili trwogę u wrogów. Szczupła to była kompania... Dwunastu tylko, lecz wywar z czerwonego muchomora sprawiał, że w bitwie przemieniali się w niepokonanych berserków¹⁴! Codziennie owi huskarlowie, co ich było, jak wspominałem dwunastu, przynosili swemu konungowi głowy pokonanych wrogów i pili potem wraz do upadłego. Skaldowie śpiewali o nich cudne pieśni, a najwięcej o konungu Jezusie... A wszędzie zaś, gdzie skierowali swój drakkar¹⁵, pełzła przed nimi trwoga! Za nimi zaś ostawały się trupy, pożoga i dymiące zgliszcza i lament co brzydszych wdów, bo ładniejsze braли z sobą... I nie było dnia, by nie pili miodu i wina z czaszek swych wrogów. Zaś najwięcej pił konung Jezus, syn Chrestosa, bo był z nich najroślejszy i najtęższą miał głowę. Aż zdarzyło się pewnego razu, że jeden z owych huskarłów go zdradził!... Powiadają, że zazdrościł mu sławy, lub może pominęto go przy podziale łupów... Zdradził więc i pokazał wrogom, gdzie spał konung po uczcie szczególnie obfitej... Wtedy wrogowie w ogromnej liczbie napadli nań, pochwycili go i zwięzali...

– A gdzie wtedy byli konungowi huskarle? – zawołał ktoś.

– Właśnie! Gdzież byli?

– Tego po prawdzie nie wiem, a nie chcę wam kłamać... Z pewnością łupili gdzieś daleko, za morzem, lub może wino ich tak zmoгло, że nie mogli się podnieść...

Pomruk poszedł po izbie, a poruszeni słuchacze poczęli wołać:

– Mów dalej, Halfdanie!

– Więc zakuli go ci wrogowie w potężne stalowe dyby i pastwili się nad nim w sposób przeokrutny oraz nader wymyślny. Szydzili zeń i drwili, aż w końcu przybili do rei¹⁶ swego drakaru i wozili po zatokach tam i sam, chełpiąc się zwycięstwem, ale i po to iżby wszyscy mogli napatrzeć się nań i poznać, że oto został pokonany... Aż na koniec, gdy zobaczyli, że umarł, zewłok jego rzucili do bardzo głębokiej jamy i przywalili ogromnym głazem. Zrobili tak, gdyż lękali się go nawet martwego, nawet skutego łańcuchem i przywalonego głazem...

Tu Halfdan zatrzymał się na długą chwilę, by tym mocniej wybrzmiały jego późniejsze słowa:

– Ale oto on trzeciego dnia ocknął się! Wyrzeźwia! I otworzył oczy!!!

– Ożył! – krzyknęli zgromadzeni. – Sława mu! Słyszeliśmy o tym!

Jest w Birce pewien człek niespełna rozumu, który o tym coś prawił, lecz nikt dotąd nie dał mu wiary!

– Zaiste ożył! I rozszarpał łańcuchy, którymi był związany, odwalił głaz, którym go przykryto, wylazł z jamy i pozabijał wszystkich swoich wrogów! – potwierdził Halfdan.

– A ten, co go zdradził? Co z nim? – zapytał ktoś.

– Na próżno próbował się ukryć, bo konung Jezus dopadł go i zabił! Powiadają, że zdrajca konał długo, bardzo długo, na przemian to prosząc o litość, to złorzecząc swemu oprawcy.

– Gorze mu! Hańba! Hańba zdrajcy!

– I dokonał potem Jezus wielu jeszcze arcydzielnych czynów, aż w końcu Odyn zabrał go do Walhalli¹⁷!

– Sława mu! Wieczna mu sława! – ryknęli biesiadnicy i poczęli wznosić rogi i kielichy pełne miodu i wina, oraz, jak już wspomniano, trunku o nazwie bjorr.

Wtedy też wszyscy, co byli tam przytomni, zapragnęli się ochrzcić. Zaś pragnienie to powstało w nich nagłe i tak wielkie, że musiał Halfdan natychmiast udać się z tymi, co tego chcieli, nad zatokę by rzecz całą przeprowadzić. A czynił to Halfdan tym sposobem, że wszedłszy po pas w lodowatą wodę zanurzał po czubek głowy każdego z tych, co doń podchodzili szeregami, a przytrzymawszy pod wodą wydobywał nad powierzchnię i uderzał pięścią w twarz, ale nie nazbyt mocno wypowiadając przy tym niezrozumiałe słowa. W taki to sposób ochrzczeni zostali niemal wszyscy, którzy zdolni byli o własnych siłach wstać wtedy od stołu, zaś drugiego dnia całą rzecz powtórzono, a trzeciego posłano do Birki¹⁸ po owego człeka, o którym słyszano, że tam przebywał z dawna i podobne rzeczy opowiadał, i podobnie był to jakiś sławny godi¹⁹ konunga Jezusa, lecz czy to niezajomość języka, czy też inne jakieś okoliczności sprawiły, że nikt go wprzód i słuchać nie chciał. Gdy zaś człek ów przybył, ceremonię raz jeszcze powtórzono, a zeszli się na nią mieszkańcy nawet bardzo odległych fiordów, mężowie i niewiasty, w tym ludzie możni, jak i skromniejsi bondowie, wolni i niewolni, a także rozmaici włóczykije z lasu...

Takim sposobem dokonał się chrzest.

Potem, po latach, kościelni skrybowie zapisali to po swojemu, zaś o historii tu opowiedzianej zabroniono głosić.

¹ *Viking* – wyprawa łupieżcza – handlowa dawnych Skandynawów.

² *Langskip* – dosłownie: „długi okręt”. Typowy średniowieczny okręt skandynawskich wojów z jednym masztem i wielkim, czworokątnym żaglem, wysoką dziobnicą i nasadą w kształcie głowy smoka.

³ *Sneka* (*snekkar*) – niewielki langskip, na 30 – 40 wiosel, przeznaczony jednak do dalszych rejsów.

⁴ *Knara* – statek wikingów, służący głównie do wypraw handlowych i kolonizacyjnych. Statek napędzany był głównie żaglem a wiosła służyły tylko do manewrowania w portach. Liczba wiosłarzy nie przekraczała 8 osób.

⁵ *Gardariki* (nor. *Garðaríki*, kraj grodów) – łańcuch fortów ciągnący się wzdłuż rzeki Wołchow do Ładogi. Później nazywano tak całą Ruś.

⁶ *Miklagard* – Tak zwali Skandynawowie Bizancjum.

⁷ *Włodzimierz I Wielki* – wielki książę kijowski (*Gardarki*) od ok. 980 z dynastii *Rurykowiczów*. Ochrzczył się i wprowadził chrześcijaństwo na Ruś.

⁸ *Bazyli II Bułgarobójca* – cesarz bizantyński w latach 976–1025. Powiadają, że jego przydomek wywodzi się od zwycięskiej bitwy pod Klidion, gdzie pokonał armię cara bułgarskiego *Samuela* rozkazał oślepić tysiące bułgarskich jeńców, zostawiając co setnego z jednym zdrowym okiem, aby mógł zaprowadzić swój oddział do domu.

⁹ *Wikingowie* nazywali tak ziemię kalifatu bagdadzkiego.

¹⁰ *Konung* – skand., książę skandynawski, władca.

¹¹ *Gonitwa po tarczach* – zabawa sportowa skandynawskich wojowników.

¹² *Hird* – drużyna wikingów.

¹³ *Huskarl* – członek anglosaskiej, albo wikingowskiej straży przybocznej władców.

¹⁴ *Berserkowie* (*berserkerzy*) – według podań historycznych byli nieznanymi strachu wojownikami. Wikinga będącego berserkiem ogarniał szał walki, który dodawał mu nadludzkiej siły.

¹⁵ *Drakkar* – największy typ langskipów, okrętów wikingów.

¹⁶ *Reja* – poziome drzewce na jednostce żaglowej przytwierdzone do masztu, do której przymocowany jest żagiel.

¹⁷ *Walhalla* (staronord. *Valhöll*) – komnata, pałac poległych – w nordyckiej mitologii jest to miejsce, gdzie przebywają polegli w chwale wojownicy. Wojownicy uczują tam i ćwiczą, by w chwili końca świata stoczyć ostateczną bitwę.

¹⁸ *Birka* – średniowieczne miasto, faktoria handlowa wikingów, dzisiaj na zachód od Sztokholmu.

¹⁹ *Godi* (staroisł. *goði*) - tak nazywano najważniejszych islandzkich kapłanów.

Tomasz Figiel

Godło: „Zawigost”, Kraków

II miejsce

Legandy zawichojskie

Jan Frasobliwy

Wizerunek Chrystusa Frasobliwego, tak popularny w Polsce, zwłaszcza w jej południowo-wschodniej części, był w XIX wieku nieodłącznym elementem każdej niemalże, wiejskiej czy też małomiasteczkowej zagrody i równie często szczyił swą obecnością przydrożne kapliczki. Jest utrwalonym przez stulecia wyobrażeniem Jezusa przeżywającego ostatnie chwile przed śmiercią, a jego ludzki, zatroskany wyraz twarzy był dla ówczesnego człowieka symbolem codziennych zmartwień, z którymi zmagają się każdy śmiertelnik.

Od dawna wiadomo przecież, że Chrystus, syn Boży, jest tym bliższy ludziom, im bardziej przejawia ich cechy, a jeśli weźmiemy pod uwagę, że większość życia dziewiętnastowiecznego, prostego ludu wypełniała ciężka i wyczerpująca praca, a niepewność każdego kolejnego dnia często była źródłem niepokoju i zwątpienia, nie dziwi fakt, iż najbardziej upodobał on sobie właśnie postać Chrystusa Frasobliwego, opuszczonego i nieszczęśliwego.

Jedna z takich kapliczek stoi na skraju zawichojskiego wzniesienia. Ta wysoka, kamienna rzeźba bieli się wśród zarośli nieopodal pól uprawnych i sadów owocowych, a Chrystus Frasobliwy zadumany wrokiem spogląda z jej szczytu na tutejszych rolników, wspierając ich każdego dnia i dodając im otuchy podczas ciężkiej pracy. Spośród wszystkich zawichojskich kapliczek, a jest ich naprawdę sporo, ta właśnie uważana jest przez wielu za szczególną. Nie od dziś mówi się, iż posiada ona wyjątkową moc, co znajduje swój wyraz chociażby w tym, że przyciąga do siebie dzikie zwierzęta, które gromadzą się wokół niej i jakby zahipnotyzowane, przebywają tu przez większą część dnia. Człowiek natomiast odczuwa w tym miejscu niezwykle spokój i szczęście, a spędzone tutaj chwile zdają się być pozbawione zmartwień i problemów. Powiadają, że ma to związek

z cudem, który wydarzył się w tej okolicy niecałe sto lat temu, a jeszcze do niedawna żyli tacy, co to twierdzili, że byli jego świadkami.

Na początku ubiegłego stulecia żył w Zawichoście człowiek imieniem Jan. Znany ze swej uczynności i zawsze skory do bezinteresownej pomocy, cieszył się poważaniem wśród mieszkańców i nikt nie mógł o nim złego słowa powiedzieć. Jan był właścicielem niewielkiego kawałka pola położonego na skraju wzgórza. Każdego ranka, kiedy przychodził tu, aby uprawiać swą rolę, mijał wspomnianą kapliczkę, kłaniał się Chrystusowi i z radością rozpoczynał swoją codzienną pracę. Wieczorami natomiast, po skończonych obowiązkach, przechadzał się zwykle po mieście, gaworząc a to z tym, a to z tamtym, wstępując nieraz z gością do swych znajomych, a wszędzie był zawsze mile widziany. Jako że był to człowiek bystry i znał się na wielu rzeczach, często pomagał innym, gdy potrzebowali akurat coś naprawić, rozwiązać jakiś problem lub po prostu przydałyby im się dodatkowe ręce do pracy. Za wyświadczone przysługi nie oczekiwał od nikogo żadnej wdzięczności, a jedyną zapłatą, jaką przyjmował, było zwyczajne słowo „dziękuję”.

Gdy zapadał zmierzch, wracał Jan do swojego domostwa, gdzie nie czekał na niego nikt. Każdy wieczór spędzał samotnie i to najbardziej trapiło jego duszę. Ten z pozoru szczęśliwy i pełen życia człowiek nagle stawał się całkowicie przygnębiony, a poczucie bezsensu dręczyło go każdej nocy. Z zalem rozmyślał nad swoją samotnością i miał ku temu powody, gdyż prawie pół wieku stapał już po świecie i nic nie wskazywało na to, aby kiedykolwiek miał się ożenić i założyć rodzinę, a tego w głębi serca pragnął najbardziej. Zazdrościł ludziom, którzy właśnie w tej chwili spędzali czas ze swoimi bliskimi. Nie można powiedzieć, że nigdy nie miał powodzenia u kobiet, ale raczej jako przyjaciel przez nie był traktowany, niż potencjalny małżonek i ojciec rodziny. Była niegdyś nawet taka, z którą Jan spotykał się przed laty i pewnego razu postanowił się jej oświadczyć, lecz w odpowiedzi usłyszał, że jest on jej bardziej bratem niż kandydatem na męża. Z każdym więc dniem coraz bardziej tracił nadzieję, że jego los się odmieni i miał świadomość, iż kiedyś będzie musiał odejść z tego świata, nie zaznawszy prawdziwej miłości, nie zostawiwszy po sobie potomka, a myśl ta sprawiała, że całe jego życie jawiło mu się jako pozbawione głębszego celu.

Mijały miesiące i lata, a każdy dzień z życia Jana wyglądał niemal identycznie. Nie był on już młodym człowiekiem, a twarz jego nie tylko

naznaczona była bezlitosnym upływem czasu, ale także jego wewnętrzny smutek odcisnął na niej swoje piętno. Pewnego ranka, gdy jak co dzień, Jan szedł uprawiać swoją ziemię, przechodząc obok Chrystusowej kapliczki, dostrzegł smugę jasnego światła bijącego z niej w jego kierunku. Całkowicie przez nie oslepiiony przystanął, a wtedy Jezus przemówił do niego: „Janie, zostań ze mną. Tutaj jest twoje miejsce.” Jan, poruszony faktem, iż usłyszał głos samego Boga, nie śmiał zignorować tych słów. Usiadł przed kapliczką i wpatrywał się w nią z zachwytem, a wtedy jego smutek i uczucie przygnębienia zniknęły. Odczuwał pełnię szczęścia i miał wrażenie, że nic już więcej od życia nie potrzebuje. Siedział tak przez cały dzień, czym wzbudzał zaciekawienie wszystkich, którzy tędy przechodzili. Jedni przyglądali mu się ze zdziwieniem, inni próbowali zagaić, lecz on odpowiadał jedynie: „Jezus do mnie przemówił”. Odchodzili więc, pukając się w czoło albo próbowali sprowadzić go na ziemię, mówiąc, iż zdawało mu się zapewne lub co innego w zaroślach usłyszał i wziął to za słowa Chrystusa. Jan jednak wciąż siedział i patrzył.

Trwało to kilka dni, aż miejscowa ludność zaczęła się o niego niepokoić. Przestał już reagować na to, co działo się wokół, nie mówił ani słowa, a gdy chciano go stamtąd zabrać, okazało się, że jakaś nieznama siła trzyma go w miejscu i jego ciało ani trochę nie chce drgnąć. Coraz bardziej dziwiła wszystkich ta sytuacja i nikt nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Twarz Jana, bez przerwy zwrócona w stronę kapliczki, zaczęła przybierać wyraz twarzy Chrystusa. Zdawać by się mogło, że jest pomiędzy nimi jakaś więź, a w ich głowach podobne myśli się kłębią. Któregoś dnia Jan zamknął oczy, przewrócił się na bok i nikt nie miał wątpliwości, że umarł. Ludzie poczęli zbierać się wokół niego, by opłakiwać i żałować tego człowieka, którego tak bardzo szanowali. W pewnym momencie ciało Jana uniosło się ponad ziemię, zatrzymało się na pewnej wysokości i lewitując przez chwilę, żegnało się jakby ze światem, a następnie zaczęło wznosić się coraz wyżej, aż uleciało prosto do nieba.

Od czasu tego zdarzenia miejsce to otoczone jest przez mieszkańców szczególnym kultem. Kapliczka Chrystusa Frasnoliwego wciąż stoi, zachwyca swoim widokiem i budzi pozytywne skojarzenia, a kolejne pokolenia zawichościan przychodzą tutaj, by beztrudnie spędzać czas. Jednak od prawie stu lat Jezus do nikogo więcej już nie przemówił, a Jan był prawdopodobnie jedyną osobą, która usłyszała jego głos.

Duchy starego cmentarza

Przy wjeździe do Zawichostu od strony południowej znajduje się niewielkie, gęsto zarośnięte wzniesienie, na którym widnieje osamotniony, jakby zapomniany, metalowy krzyż, a nieopodal niego jest zapadnięty w ziemię betonowy bunkier. Miejsce to, określane jako cmentarz choleryczny, obrosło w legendy i opowieści, które wraz z faktami historycznymi tworzą barwną mozaikę fantazji i rzeczywistości. Podobno w nocy można tam niekiedy dostrzec migoczące ogniki, a także szwadron jeźdźców pojawiających się w blasku księżyca. Istnieje również pewne podanie, które mówi o tajemniczym zdarzeniu, jakie zaszło tu podczas pierwszej wojny światowej i do tej pory nie zostało wyjaśnione, a ile w tej opowieści jest prawdy, ile fikcji, nikt nie jest w stanie jednoznacznie stwierdzić.

Aby zrozumieć to, co się tutaj wydarzyło, należy cofnąć się do roku 1666, kiedy Zawichost nawiedziła epidemia nieznannej bliżej choroby. Morowe powietrze, bo tak nazywano niegdyś wszelkie tego typu plagi, uśmierciło większość mieszkańców. Ofiary tejże zarazy pochowano w zbiorowej mogile na wspomnianym wzniesieniu. Nie z tego jednak powodu miejsce to nazywane jest cmentarzem cholerycznym. Los chciał, że ponad sto pięćdziesiąt lat później na teren ówczesnego Królestwa Polskiego, do którego należał wtedy Zawichost, wraz z rosyjskimi żołnierzami tłumiącymi powstanie listopadowe, dotarła epidemia kolejnej choroby zakaźnej, a była nią właśnie cholera. Miasto powtórnie zostało zdziesiątkowane, a zmarłych pochowano w tym samym miejscu, w którym spoczywały już ofiary siedemnastowiecznej zarazy. Doświadczył więc Zawichost dwóch ogromnych epidemii, a wzgórze będące cmentarzyskiem, na którym leżały tysiące ciał, już wtedy zaczęto uważać za nawiedzone.

Z kolei słynny bunkier został zbudowany w czasie trwania pierwszej wojny światowej, niedługo po tym, jak miasto przeszło z rąk zaborców rosyjskich pod panowanie austriackie. Zawichojskie wzgórze było punktem strategicznym i nikt z okupantów nie wiedział wtedy, że obserwacyjno-bojowy schron znajduje się na miejscu pochówku ofiar przeszłych epidemii. Austriaccy żołnierze dzień i noc pełnili tu straż, ciągle obawiając się ataku chcących odbić miasto Rosjan. Jedna grupa wartowników przychodziła do bunkra z samego rana, by wieczorem zostać zmienioną przez następną.

Pewnej nocy żołnierze czuwający w schronie usłyszeli donośne stuki i krzyki.

Z początku myśleli, że to odgłosy zbliżającego się wroga, ale szybko zorientowali się, że dźwięki te nie dochodzą z zewnątrz, lecz ich źródło jest bardzo blisko. Następnie cały bunkier zaczął się trząść, wskutek czego żołnierze tracili równowagę, przewracali się i objali o ściany, jak w kabinie statku rzucanego przez sztorm. Nagle oczom ich ukazały się straszliwe zjawy, których wygląd wzbudziłby grozę chyba u każdego. Część z nich nie miała oczu, inne przerażały swoimi szczerbatymi ustami, a wszystkie w jakiś sposób przypominały osoby ciężko chore i wydawały z siebie głośne, przenikliwe piski. Przestraszeni żołnierze chcieli uciekać, ale w tej ciemności i panice nie byli w stanie znaleźć wyjścia. Na domiar zjawy otoczyły ich ze wszystkich stron, całkowicie uniemożliwiając opuszczenie schronu.

W pewnym momencie duchy dopadły żołnierzy, chwyciły ich za gardła i dusiły z taką siłą, że ci nawet najmniejszego jęku nie byli w stanie z siebie wydać. Po chwili wszyscy upadli martwi, a zjawy zniknęły i zapanowała całkowita cisza. Podobno pobliscy mieszkańcy, których dziwne odgłosy wyrwały ze snu, obserwowali z oddali to zdarzenie, lecz przez wąskie otwory w bunkrze widać było jedynie niezbyt wyraźne zarysy jasnych, szamoczących się postaci.

Nazajutrz, gdy do schronu przyszli żołnierze mający zmienić swoich towarzyszy, ujrzeni ich leżących martwych na podłodze i całych osiwiiałych, a po żadnej walce nie było ani śladu. Nikt nie wiedział, co właściwie się tu wydarzyło i tylko z niejasnych opowieści zbudzonych w nocy świadków można było wnioskować, że cała ta sytuacja prawdopodobnie miała związek z działaniem jakichś złych mocy pochodzących z zaświatów.

Mówi się, że zjawami tymi były dusze osób zmarłych przed laty z powodu epidemii, które nie chcą opuścić tego miejsca. Niektórzy powiadają też, iż duchy te strzegą Zawichostu i dlatego właśnie to austriaccy zaborcy padli ich ofiarą. Wiadomo na pewno, że od tamtej pory bunkier przestał być używany jako punkt obronny, gdyż żaden już śmiałek nie odważył się spędzić w nim nocy. Natomiast niezidentyfikowane odgłosy oraz jasne zarysy postaci pojawiają się tam co jakiś czas aż po dzień dzisiejszy.

Szymon Kulig

Godło: „Kuliżak”, Legionowo

III miejsce

Bezprym

Orszak dostojnie sunął przez Kraków. Miasto było skąpane w śniegu z białym puchem chmur unoszącym się nad głowami, spomiędzy których promienie słońca nieśmiało oświeślały podążających i zebraną gawiedź.

Początek roku 1077 był czasem wyjątkowym, gdyż do miasta królewskiego zajechał wraz ze świtą, świeżo koronowany w Gnieźnie Bolesław.

Wydarzenie to było manifestem Piasta. W świat poszła wieść, że władca środkowoeuropejskiego królestwa jest na tyle potężny, że może koronować się bez wiedzy cesarza i papieża.

Nieprzychylny temu był biskup krakowski. Zaciągnięto go na miejsce koronacji prawie siłą, w myśl zasady, że im więcej biskupów towarzyszących ceremonii, tym bardziej wzrastała ranga wydarzenia. To było niezbędne dla władcy kraju nad Wisłą, który aspirował do osoby, która miała być na tyle potężna, by móc interweniować u sąsiadów jakby byli wasalami, nie oglądając się przy tym na niczyją reakcję.

Biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa chciał się należycie odplącić za wykorzystanie sługi bożego w celu budowy własnej pozycji. Poza tym, miał już parę innych zatargów z panującym, o czym doskonale wiedzieli wszyscy wokoło, z Sieciechem na czele.

Dzień przed przybyciem do obecnej siedziby Piastów posłał swego sługę, by ten pojawił się w mieście przed orszakiem. Postać sługi była doskonale znana nowemu królowi, gdyż niejednokrotnie był on posłańcem docinek biskupa skierowanych przeciw panującemu. Miał to być element potęgujący afront wobec władcy, a świadkiem tego miał być cały dwór, który wiedział o wzajemnych animozjach pomiędzy tymi dwoma postaciami.

Widzem wymiany złośliwości i nieuprzejmości był zaufany nowego króla – Bezprym z Kuliżaków. Nie pełnił on żadnej oficjalnej roli na

dworze. Ot, jeden z wielu osób, które pozostają na utrzymaniu i wykonują mniej oficjalne misje – takie, o których głośno lepiej nie mówić.

Król zbierał należną mu chwałę, pozwalając by lud mógł oglądać swojego podniesionego w godności władcę. Blask, w ten niecmroźny dzień, bił nie tylko od jego osoby, ale również od prezentowanych darów, które to pochodził od sąsiednich ludów oraz dóbr zdobytych podczas wypraw. Orszak sunął ulicami nieśpiesznie. Drogę torował sobie wśród gawiedzi dzięki razem straży i szcudrze rzucaną monetą w tłum.

Wtem, na zakręcie, między budynkami, przed orszak padł zakonnik w podartych łachmanach.

– Miłościwy panie! Zlituj się nad biednym twym sługą!

Nie wzbudził zbyt dużego zainteresowania ani orszaku, ani tłumy. Sprawę załatwiłoby kilka dodatkowych monet, które z łatwością pozwoliłyby skierować gawieź w taki sposób, by ta stratowała nieszczęśnika, lecz oto przy królu pojawił się biskup krakowski i słowa, które kierował do władcy, artykułował na tyle głośno i wyraźnie, by każdy mógł go z łatwością usłyszeć.

– Królu mój! Czy pozwolił by syn twój, a boży sługa w niedoli cierpieć? Czy zachowasz się wobec niego bezlitośnie i skążesz go na śmierć?

– Bolesław w tej chwili dostrzegł zamiar biskupa, gdy rozpoznał w nim oddanego pomocnika jego adwersarza. Nie miał jednak jak uniknąć wpadnięcia w pułapkę.

– Rację masz, dostojny biskupie. Zbliź się tutaj do mnie, bracie zakonniku, i opowiedz o swojej udręce! – Lud zareagował entuzjastycznie. Nie było tak źle. Wyglądało więc na to, że za parę monet kupi sobie chociaż przychylność mieszkańców i okolicznych chłopów, którzy zjawili się by ujrzeć króla.

Kiedy zakonnik zbliżył się do władcy, cały orszak był już świadom wybiegu biskupa i był zainteresowany rozwojem wypadków. Wśród nich był Bezprym, który z ciekawością obserwował, jak zakończy się ten pojedynek.

– Dzięki ci miłościwy! Twój pokorny sługa został wysłany z odległego zakonu, by zebrać datki na jego funkcjonowanie. Niestety! Kiedy już udało mi się zebrać dość środków, by bracia moi mogli mieć zapewniony czerstwy chleb, zostałem napadnięty przez bezbożnych pogan, którzy nie boją się gniewu pańskiego. Teraz modłę się do Pana naszego, by raczył

zesłać cud, by w tak niesprzyjającej porze zebrać na tyle, by utrzymać nas przy życiu, byśmy dalej mogli głosić królestwo boże!

Król rad był z pomysłu, który przyszedł mu do głowy. Widząc dziurawy płaszcz uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

– Kochany bracie! Przyjmij więc na funkcjonowanie twojej wspólnoty tyle srebra, ile uda ci się zmieścić w kieszeniach, a to niech będzie znakiem, że miłe jest mi to, co i Bogu. – A w myślach już widział jak zakonnik nie radzi sobie z dziurami i jest obskubywany przez tłum, przez który będzie musiał się przedzierać.

– Umówony królu! – biskup słowo „król” zaznaczył odpowiednim akcentem, by lepiej wybrzmiała dalsza część tego, co ma do powiedzenia. – Czy godzi się, by ten, który dba o stawiennictwo nasze u Pana naszego, chodził w dziurawym płaszczu? Czy nie powinniśmy spróbować już tu na ziemi dać zadość ich modlitwą i wynagrodzić ich trud, oddając choćby... – Tu teatralnie się zamyślił – ...własny płaszcz, a srebro zamienić na złoto?

Król spiorunował biskupa wzrokiem i w myślach rąbał go mieczem na kawałeczki. Już wiedział, jak został wmanewrowany. Cała ta sytuacja wywołała uśmiech rozbawienia na twarzy Kuliżaka. Nie stał w pierwszym rzędzie, toteż nikt nie zwrócił uwagi, gdy skinieniem ręki wezwał swojego sługę Mściwoja i szeptem przekazał polecenia. Ten skinął głową na znak, że rozumie i rozplynął się w tłumie.

Farsa trwała nadal. Władca uczynił zadość słów biskupa i odparł do niego niemal cedząc słowa przez zęby:

– Łaską nieba jest posiadanie takich oddanych doradców jak ty, drogi Stanisławie – po czym zwrócił się do zakonnika: – Pozwól bracie, bym darował ci swój własny płaszcz, abys to w nim mógł powrócić do swojej wspólnoty.

Kieszenie płaszcza były pojemne toteż biskupi sługa był wielce uradowany. Połowa zysku miała trafić do jego kiesy. Biskup w myślach już cieszył, jak to będzie mógł paradować w byłym królewskim płaszczu po zamku na krakowskim wzgórzu, pod którym niegdyś mieszkał smok. Lepiej! Odprawi w nim msze, kiedy król będzie siedział na przedzie zeb-ranych!

Po całej scenie orszak ruszył dalej w kierunku zamku. Tam nawet wystawna uczta nie mogła poprawić humoru Bolesława, a Stanisław zbierał spojrzenia pełne szacunku spośród tych dworzan, którzy nie do końca wiernie służyli władcy.

Bezprym skinął z szacunkiem Stanisławowi. Szeptano, że Kulizak jest magiem władcy, toteż predystynowany jest raczej do bycia w opozycji wobec kapłana. Ten przyjął wzrok z wyraźną satysfakcją.

– Nie na długo, przyjacielu, będziesz się uśmiechał, nie na długo – mruknął do siebie Bezprym. Po chwili do sali wszedł pospiesznie jeden z królewskich szpiegów i zbliżył się do królewskiego ucha. Władcy wyraźnie poprawił mu się humor. Kulizak skinął królowi. Obaj już wiedzieli co się wydarzyło po odejściu orszaku. Biskup na pewno obieca sobie, że odpłaci się za tą zniewagę.

Nie zdziwił się, gdy zastał swojego sługę w komnacie, w której gościł. Polecenie zostało wykonane co do joty. Sługa pospiesznie zrelacjonował, jak dopadł w uliczce umykającego biskupiego „pacholęcia”, jak to się o nim wyraził. Z satysfakcją dodał, że doczesne szczątki sługi biskupa owinięte zostawił w dziurawy płaszcz, a wnętrzności jego poupychane były w kieszeniach. Z worka, który przytargał wyjął płaszcz królewski:

– Ani kropelki krwi.

– Doskonale. Rozumiem, że odliczyłeś sobie należną część?

Zbir Kulizaka uśmiechnął się tylko, odsłaniając garnitur niepełnego uzębienia.

– Tak myślałem, a teraz zmykaj i przyjdź rano.

Tego wieczora w komnacie pojawił się jeszcze jeden gość, który nie zwykł pukać, zapowiadając swoje wejście. Był w końcu gospodarzem zamku.

Bolesław skinął głową Bezprymowi. Króla nie zdziwił widok jego płaszcza, który był rozpostarty na krześle. Założył go na siebie.

– Pomyślałby kto, że po takiej rzeźni będzie czysty. – Włożył rękę do kieszeni i stamtąd wyciągnął jedną przelamaną monetę. Obrócił ją w palcach.

– Myślę, że odpowiednią rekompensatę za swój trud utarcia nosa biskupowi sam sobie odebrałeś, magu – po czym roześmiał się w głos wychodząc z komnaty.

Działo się to roku pańskiego 1077 pod panowaniem, z bożej łaski króla Polski Bolesława, który u swojego boku miał Bezpryma z Kulizaków, przedstawiciela rodu, który nierozzerwalnie związał swoje losy z biegiem wydarzeń kraju nad Wisłą i rzeczami, które zgodnie uznane byłyby za pogańskie sztuczki i czary.

Paweł Fleszar
Godło: „Madrigal”, Łańcut
Wyróżnienie

Zapach placka z wiśniami

1.

Pies miał ciemną sierść, od grzbietu w dół przechodzącą w szarą, i białe łaty na piersiach i gardle. Kiedy Robert podszedł do kojca, przysunął pysk do siatki i patrzył na niego z ciekawością. Żadnego szczekania, skakania, uderzania łapami o siatkę, merdania ogonem, wizgów i jazgotów. Parę tygodni później tak samo zachował się, gdy do ogrodzenia mijanego przez nich domu zbliżył się rasowy husky, z niebieskimi, magnetycznymi oczami. Wtedy jednak na co dzień nie był już taki opanowany; witając wracającego z pracy Roberta kilka razy omal go nie przewrócił, a pazurami porobił mu rany na łydkach, kiedy rzucał się na niego od tyłu.

– Wabi się Rico. Jest mieszańcem husky i owczarka niemieckiego. – Podeszła do niego pracownica Czterech łap, bardziej hoteliku dla zwierząt i domu tymczasowego niż schroniska, jak się reklamowali. Robertowi było to obojętne. W Mieście, gdzie pracował, miał do nich najbliżej.

– Na przełomie października i listopada skończy dwa lata – kontynuowała. – Od szczeniaczka miało go małżeństwo, które się rozwiódło. Mąż nie chciał psa, a żona nie mogła się nim opiekować.

Po rozwodzie, pasuje do mnie – pomyślał. A głośno powiedział: – Wezmę go.

– To praktycznie pierwszy pies, którego zobaczył pan wchodząc do nas. – Dziewczyna podniosła brwi. Miała jasne włosy związane w luźny węzeł, czarny workowaty sweter. – Nie odradzam panu, ale może przejdzie pan wzdłuż kojców, obejrzy inne, utwierdzi się w swoim przekonaniu. Proszę potem przyjść do mnie do biura, podpiszemy umowę adopcyjną. Muszę pana zostawić, bo czeka tam na mnie gość, który chce adoptować kota. Jest jakiś dziwny...

Robert zastanawiał się wcześniej nad kotem. Koty podobno są dobre na stres. Jednak po historii z Marzeną nie wytrzymałby w tym samym mieszkaniu z kolejną wyrachowaną, egoistyczną istotą.

Nie miał ochoty zwiedzać schroniska, oglądać nieszczęśliwych zwierząt, które tu zostaną. Postąpił chwilę obok Ryśka (jak go przechrzcili), przez siatkę pogłaskał go dwoma palcami po nosie, rzucił: „zaraz wracam” i poszedł do biura.

Tam napięcie było wyczuwalne już od progu.

– Proszę pana, karmimy dobrymi karmami, więc jeśli ktoś chcący zaadoptować jednego kota nie jest w stanie zapewnić mu karmy lepszej jakości, to lepiej niech zrezygnuje. – Dziewczyna wpadała w ton oficjalny. – Nie wydajemy również kotów na wieś do łapania myszy. Bo owszem kot może zamieszkać na wsi, ale w domu, a nie w stodole i ma być normalnie karmiony.

– Szanowna pani, takie pięknoduchy jak pani byłyby irytujące, gdyby nie były tak bardzo zabawne. – Mężczyzna około pięćdziesiątki wysławiał się starannie, wręcz elegancko, z czym kontrastowała jego sfatygowana marynarka i wystrzępiony, wystający kołnierzyk koszuli. – Kot nie jest zwierzęciem domowym, ale zaledwie udomowionym. Jest bardzo inteligentny, więc dla swojej wygody dostosował się do oczekiwań człowieka. Ale Bóg czy też natura, w zależności, w co pani wierzy, dały mu instykt łowiecki. Stworzyły do jednym z najbardziej okrutnych drapieżników. Zastanawiała się pani kiedyś, co znaczy to popularne powiedzonko: ”bawić się, jak kot z myszą”? Widziała pani, jak kot bawi się ze złapaną myszą? Straszy ją w ten sposób, a śmiertelnie przerażona mysz produkuje więcej adrenaliny, która poprawia smak mięsa. To na pewno nie jest sucha karma, ale większość waszych podopiecznych przedłożyłaby ją nad tę, którą im serwujecie.

Pracownica schroniska coraz mocniej rumieniła się, na zakończenie oracji wstała i już, już podnosiła rękę, aby pokazać mu drzwi, ale zmitygowała się i wycedziła tylko:

– Życzę panu powodzenia w poszukiwaniach rasowego drapieżnika prowadzonych na łonie natury.

Mężczyzna nic nie odrzekł, odwrócił się na pięcie, a przechodząc obok Roberta mruknął: „pięknoduchy”.

– Przepraszam, ale właśnie osiągnęłam poziom szału sześć, sześć, sześć – prychnęła dziewczyna. – Zdecydował się pan na Rico? Może jeszcze weźmie pan go na spacer? Właściwie od razu powinnam to zaproponować.

– To chyba zbyt wiele. Nie chcę zabierać pani zbyt wiele czasu.

– Przepraszam, zaraz ochłonę i dopełnimy formalności. Nie spodziewałam się, że nawet w tej pracy może być tak nerwowo. No cóż, tylko czekolada mnie rozumie i kocha. – Uśmiechnęła się znacząco.

Nie zastanawiał się nawet, czy to zaproszenie do niezobowiązującego flirtu. Przez ciąg skojarzeń szybko przebył drogę od czekolady do Marzeny i kiedy pracownica schroniska tłumaczyła mu zasady umowy adopcyjnej, wyłączył się, wspominając, jak w pierwszych miesiącach związku planowali wspólną przyszłość. Pół żartem, pół serio uznali, że w weekendy będą samowystarczalni, między innymi w sferze kulinarnej. Robert miał gotować na „słono”, a ona „słodko”. I on wywiązywał się z ustaleń, ale żadnego z obiecywanych przez nią ciast (czy też placków, jak się mówiło w tych stronach) się nie doczekał. Mania bycia fit przerodziła się u niej w obsesję. Jej wizyty na siłowni zabierały im coraz więcej wieczorów, deserem zaś można było ją straszyć, a co dopiero namówić do upieczenia czegoś. Z kolei obiady stały się dla niej zbyt tłuste, więc zaczął gotować według wskazań apostołów zdrowego stylu życia. A odkąd Marzena odeszła, włączał gaz tylko pod wodą na herbatę, a jedyne ciepłe posiłki jadł w małym bistro, obok firmy.

2.

– Ale się opaliłeś!

Sam już zauważył to w lustrze. Twarz, szyję, kark i przedramiona miał może nie tyle opalone od słońca, co osmagane wiatrem. Każdego popołudnia wychodzili za obrzeża Miasteczka, zaczynające się zaraz za blokiem, w którym mieszkał Robert. Szli tam, gdzie skręcił Rico, pośród pól zmieniających akurat kolor z zielonego na żółty (większość okolicznych rolników stawiała na rzepak), plantacji porzeczek, długich pagórków sadzonych właśnie ziemniaków. Zawsze trafiła się jakaś rozcinająca uprawy fosa, na niej mostek, gdzie indziej zagajnik lub przynajmniej kępa krzaków.

Zaczął w miarę normalnie sypiać. W poprzednich kilku tygodniach budził się po trzech, czterech godzinach w mokrej piżamie i przepoconej pościeli. Nigdy nie udało mu się zasnąć ponownie. To z nerwów, tłumaczył sobie.

Teraz pierwszym widokiem był łeb siedzącego przy łóżku, wpatrzonego z nadzieją psa. Niekiedy w brązowych ślepiach zapalały mu się zielone lampki.

– Co robisz, kiedy znikasz tak codziennie o piętnastej? – Zorientował się, że Weronika, która zaczęła od wykrzyknika o opaleniznie, ciagle coś

do niego mówi. Dziwne, bo z siedzącą naprzeciwko koleżanką dotąd dyskutowali tylko na tematy firmowe, a jedyną luką w jej obojętności była zdawkowa uprzejmość.

– Spaceruję z psem – odparł, ale chyba uznała, że żartuje.

Kiedy cztery lata temu zatrudniał się w firmie handlującej elementami wykończenia wnętrz, cieszył się, że praca jest elastyczna i będzie mógł spędzać dużo czasu z Marzeną. Sporo projektów mógł wykonywać na laptopie w domu, a więc i wcześniej doń wracać. Gdy zaczęło się między nimi psuć i to ona zniknęła na popołudnia czy wieczory, a przede wszystkim w ostatnim okresie, po jej odejściu – błogosławieństwem była znaczna ilość zadań, jakich się podejmował. Teraz ciągle zabierał pracę do domu, ale pierwszeństwo miał Rico. Wczoraj policzył, że podczas trzech wyjść spędzili w plenerze blisko pięć godzin, a i to tylko dlatego, że poranny spacer był dosyć krótki.

Wyciągając rękę po herbatę Weronika strąciła z biurka kubek kolorowych długopisów, stojących tam dla ozdoby, wszak prawie wszystko robili na komputerach. Pomagał jej zbierać, kucali naprzeciw siebie i dopiero teraz zwrócił uwagę, że – chyba od niedawna – zaczęła nosić głęboki dekolot.

Biust był powodem pierwszego poważnego pęknięcia w ich relacjach z Marzeną, choć zrozumiał to dużo później. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do swojego wyglądu, a ubrania dopasowywała do najnowszych trendów, spędzając godziny bądź przed lustrem, bądź na śledzeniu nowinek. Ale też zawsze sprawiała wrażenie zadowolonej z efektów. Pewnego dnia jednak spytała go, co sądzi o pomysle wszczęcia implantów. Zaskoczony odrzekł, że to jej ciało i nie narzuci jej żadnej decyzji. Teraz jednak jest idealna – niewysoka, drobna, zgrabna o delikatnej buzi. Taka mu się spodobała tamtego dnia, gdy poznali się na koncercie. Pokiwała głową, uśmiechnęła się, powiedziała „Kochany jak zawsze”, a kilka dni później była już po operacji. Skomentował, że nowe piersi idealnie komponują się z jej sylwetką, a niedługo naprawdę zaczął tak uważać.

3.

Pierwszy raz żałował, że jest tradycjonalistą (jak lubił o sobie myśleć) czy też anachroniczny (jak mówili o nim inni, włącznie z Marzeną – używającą jednak słowa zacofany) i posługuje się telefonem starego typu, nadającym się tylko do rozmów i sms-ów. Przydałby się smartfon, którym

mógłby nagrać krótki film. Choć wczorajszy występ Ryśka ciągle miał przed oczami i dusił się ze śmiechu na każde wspomnienie.

Zasuwali po swojemu przez pola, kiedy drózkę kilkadziesiąt metrów przed nimi przecięły dwie młode, spłoszone przez nich sarny. Rico stanął pionowo na tylnych łapach, przednie wyprostował i kicał w miejscu jak kangur. Robert mocno trzymał smycz, ale pies nawet nie zrywał się do pogoni, był po prostu nieprzytomnie podniecony widokiem jeszcze ruchliwszych od niego stworzeń, z którymi można byłoby tak świetnie się bawić.

Za to jego pan, chcąc nie chcąc, socjalizował się coraz bardziej. Niemal co dzień toczył rozmowy z sąsiadami i znajomymi „z widzenia” – o obyczajach ulubieńców, porach siusiania, pożywieniu, szczepieniach, zabezpieczeniu przed kleszczami. Jeszcze sympatyczniejsze były przygodne spotkania z obcymi ludźmi, kiedy oboje odsuwali się na krańce dróżki i ściągali smycze swych psiaków, a mijając pozdrawiali się z uśmiechem.

Dzisiaj w wyposażonym w lodówkę firmowym pokoiku, gdzie można było zaparzyć sobie kawę lub herbatę, a nawet wypić ją przy stoliku, zastał asystentkę szefa, Różę, przeglądającą jakieś pismo.

– Chwila relaksu? – rzucił uprzejmie.

– Tak jakby. Mówili: „Rób to, co kochasz, a pieniądze przyjdą”. No to zjadłam czekoladę, czytam magazyn o modzie i czekam. – Dwudziestoparoletnia dziewczyna, u której wszystkie barwy były wyraziste: jaskrawoczerwone szminka i lakier do paznokci, czarne włosy, brązowe, błyszczące oczy, zrobiła szelmowską minę. Gdy wybuchnęła śmiechem, spytała:

– A ty za co chciałbyś dostawać pieniądze, gdybyś nie miał przyjemności zarabiania ich tutaj?

– Za wyprowadzanie psa – odpowiedział odruchowo.

Zwierzyła mu się, że przez całe niemal dzieciństwo i nastoletnią młodość miała labradora, który zdechł ze starości. Uznała, że drugi raz nie wytrzyma tak wielkiej rozpacz i nie zdecydowała się na następnego czworonoga.

– Ale ciągle je kocham. „W razie Wu”; gdyby wysyłali cię gdzieś z firmy i nie miałbyś go z kim zostawić, mów śmiało. Mogę się nim zaopiekować nawet przez kilka dni – towarzyszył temu dwuznaczny uśmieszek, a „nim” i „zaopiekować” zaakcentowała.

Pani Maria, główna księgowa, nazywała ją zgryźliwie „naczelną kokietereczką korporacji”, a na jednej z imprez integracyjnych podpita Weronika przeciągnęła kiedyś przez zęby: „taaa sssuka”.

Przyszedł moment, dwa lata temu, kiedy zaczął się zastanawiać, czy Marzena nie zachowuje się podobnie w firmie deweloperskiej, gdzie pracowała w dziale sprzedaży. W każdym razie ubierała się tak samo: spódniczki bądź sukienki mini, zawsze wysokie obcasy lub koturny, chyba że zakładała akurat buty za kolana. Po wszczęciu implantów – bardzo obcisłe bluzki albo sweterki.

Zawsze była dla niego tajemnicą. Uśmiech miała miły, ale nigdy nie śmiała się głośno i spontanicznie. Gdy coś ją rozbawiło, wydawała stłumione parsknięcia. Sprawiała wrażenie, jakby cały czas analizowała, kalkulowała. Wpatrywała się weń z zainteresowaniem i oddaniem, a po chwili, znienacka pojawiał się na jej twarzy zacięty wyraz jędzuni. Śliczna buzia potrafiła przemienić się w młodzieńczą, nieładną, znudzoną, rozpromienioną, a nawet w zapis rozczarowań kobiety zbliżającej się do trzydziestki. I to wszystko tego samego dnia. Nazywał ją swoim kameleonem – jedynym, którego chce się pogłaskać i wziąć za łapkę.

4.

Rysiek chyba wyczuwał jego nastrój. Zwykle zaraz po wyjściu z domu skakał do smyczy, próbując ją złapać zębami tuż przy ręce i wyrwać, potem przez chwilę ciągnął go tak, jak jego kuzyni sanki na Alasce. Dzisiaj od startu powoli i dokładnie obwąchiwał słupki i kępki trawy, oznaczając wybrane krótkim strumieniem.

A Robert niewesoło obracał w myślach przedwczorajszy wieczór u Róży. Został wysłany na weekendowe targi dizajnu odbywające się w katowickim Spodku, więc ponowiła ofertę zaopiekowania się psem. Kiedy jednak w niedzielę po powrocie zjawił się u niej, aby go odebrać, przyjęła go w czymś co nazwałby szlafrokiem, gdyby nie było cieńsze od firanki i sięgało dalej niż tuż za pośladki. Odkrywało znaczną część piersi, a po tym jak kilka razy ustawiła się w świetle ściennych kinkietów miał powody przypuszczać, że nie założyła nic więcej. Uciekł od niej szybciej od ciągniętego na smyczy psa; Róża od dwóch dni nie zauważała jego obecności w firmie, a on nawet nie umiał sprecyzować powodów swojego postępowania.

Czy ja jestem już kompletnie pokręcony? – rozmyślał. Przestraszyłem się?! Czego? Zaangażowania? Przecież Róży o nic takiego raczej nie chodziło. Chyba nie zacząłem bać się kobiet?

Miał dość zdrowego rozsądku, żeby nie obwiniać Marzeny i ich rozstania za wszelkie swoje lęki i uczucia. Zawsze uważał się za szarego i nieciekawego. Sądził, że tak też jest postrzegany przez płęć odmienną, ale w pełni mu to odpowiadało, bo miał swoją miłość. Przecież nic się nie zmieniło! Nadal w lustrze widział jasne włosy, nie pozwalające jednak określać go rasowym blondynem, twarz wyrazistą, lecz nie urodziwą. Ciągle miał nieco kanciastą sylwetkę i także poczucie humoru. Najlepsze riposty i żarty przychodziły mu do głowy „na schodach”.

– Wierzę, że przynajmniej ty spędziłeś miło weekend – powiedział do psa, a ten szarpnął i ruszył ścieżką pomiędzy sadem jabłkowym a łąką. Robert już dawno zauważył, że Rysio na ogół nie rozpoznaje słów, tylko reaguje na nagłą bądź pytającą intonację, myśląc, że pan go pogania.

5.

Ciągnięty przez psa rozmyślał nad wymianą dywanu i wykładziny, przykrywających w jego mieszkaniu betonową wylewkę, na parkiet lub podłogę. Rico od początku gubił sierść, a przed nadejściem lata było jej tak wiele, że pani Maria kpiąco zaoferowała mu zrobienie z niej swetra na drutach. Trudno było pozbierać odkurzaczem powbijane głęboko kłaki.

Nie zauważył, że pierwszy raz poszli w stronę dwupiętrowych, kilkunastu domów osiedla wybudowanego niedawno pośrodku pustki. „Jakie miasto, tacy deweloperzy i takie apartamentowce” – mawiała z przekąsem Marzena. W oddali majaczyły wzgórza, gdzie po dwudziestoletniej przerwie wyremontowano i uruchomiono wyciąg narciarski. Nagle Rico przywarł płasko do ziemi, wyciągając przed siebie łapy i kładąc na nich łeb. Zdezorientowany Robert rozejrzał się: dotąd zachowywał się w ten sposób, gdy spotykali lub mijali za płotem suczkę. Tutaj zza zakrętu wyszła kobieta. Nawet nie zdążył przyjrzeć się jej, kiedy pies skoczył tak raptownie, że wyrwał mu się i rzucił się na nią. Zszokowany Robert nie był w stanie zareagować, ale szybko pojął, że to nie atak. Rysiek wprawdzie uderzał ją przednimi łapami w piersi aż się chwiała, ale przy tym lizał ją po twarzy, piszczał, a ogonem wymachiwał tak, że wydawało się, jakby to ogon kręcił jego tułowiem.

– Teraz to pański pies? – spytała, kiedy Rico opadł na cztery łapy i zaczął biegać wokół niej jak oszalały.

– Bo ja wiem? Chyba to raczej ja jestem jego człowiekiem. Robert. – Wyciągnął do niej rękę.

– Małgorzata. – Spojrzała na niego z namysłem. – Przez niemal półtora roku byłam jego człowiekiem. Ja i hm... mój były mąż. Niestety, po rozwodzie nie byłam w stanie się nim zaopiekować. Wracam do domu o dziewiętnastej, dwudziestej, zwariowałby sam od rana. Dzisiaj udało mi się wyrwać dwie godziny wcześniej i dzięki temu wyszłam na spacer.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności – stwierdził, patrząc na jej wzruszenie.

– Moja mama zawsze mówiła, że nie umiem ukrywać emocji i zawsze jak coś się stanie, to widać u mnie na twarzy. – Uśmiechnęła się.

Spacerowali we trójkę jeszcze przez dwie godziny. Na koniec Robert zaproponował, że mogłaby w weekendy wyprowadzać Rico, a na urlopie nawet wziąć go do siebie.

– Prędzej nadejdzie uwiad starczy i miażdżycy, niż mój urlop. Zresztą nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłoby to Rysiowi i mnie. Już raz go porzuciłam. O jeden raz za dużo – ucięła.

6.

Dopiero, gdy zobaczył ją siedzącą na betonowym słupku, zorientował się nie tylko, iż bezwiednie poszedł tą samą drogą co wczoraj. Uświadomił sobie również, że poprzedniego wieczoru Marzena nie zdominowała jego rozmyślań po raz pierwszy od dnia, kiedy powiedziała: „nie ma co dalej brnąć w tę pomyłkę” i wyprowadziła się w ciągu niespełna dwóch godzin, bo ciuchy miała już spakowane, a formalności administracyjno-prawne ograniczyli do podziału kosztów ostatniego czynszu i rachunków za media.

Wspominał za to Gosię, ich długą rozmowę, jasnobrązowe włosy, ciemnoniebieskie oczy w dużej, jasnej twarzy, nos jak gruszka marszczący się niekiedy w zabawną trąbkę, usta bardzo szerokie o nieregularnym rysunku. Figurę przysadzistą, ale zgrabną i wydatny biust.

– Niespodzianka – powiedział, kiedy już odzyskała równowagę po równie entuzjastycznym, co wczoraj, przywitaniu Rico.

– Zmieniłam zdanie, żeby zmanifestować swoją kobiecość.

– Do twarzy ci z tym – odparł, na co ona schyliła się do leżącego u jej stóp plecaczka, ekstatycznie obwąchiwanego przez psa. Wyjęła duże, plastikowe pudełko po lodach.

– Mam placek z wiśniami. Wiem że Rysio go uwielbia, ale może i ty polubisz. – Patrzyła na niego spokojnie; nie zalotnie, nie wyzywająco, bez

stresu oczekiwania, nadziei. Czuł słodki zapach ciasta, do którego dała sporo cukru i kwaskowy aromat owoców.

Później był to dyżurny żart, ilekroć upiekła coś dla ich trójki. Robert pytał, co zrobiłaby tamtego dnia z plackiem, gdyby nie poszli tą drogą. Ona odpowiadała, że zawsze jest gotowa zjeść cały, bo szczęśliwie słodczyce idą jej w biust, a nie w biodra.

KONIEC



Dorota Bukowska

Godło: „Stokrotka40”, Leziona

Wyróżnienie

Dziękuję za miłość

Rok 2020. Sylwestrowa noc, podczas której wszyscy witali Nowy Rok, nie zwiastowała niczego złego. Jedni świętowali w domach, inni na balach sylwestrowych. Każdy miał własne życzenia, plany, marzenia. Jak co roku o godzinie 24: 00 otwierano szampany, a na niebie pojawiły się fajerwerki. Nikt wówczas nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że tajemnicza choroba wykryta pod koniec 2019 roku w mieście Wuhan w środkowych Chinach, zmieni już wkrótce życie całego świata. COVID-19 – wywoływana przez koronawirusa SARS-CoV-2 zbierze w roku 2020 ogromne żniwo śmierci. To ostra choroba zakaźna układu oddechowego. Wysoka gorączka, duszność, problemy z oddychaniem. Wirus przenosi się drogą kropelkową przy kontakcie z osobą zakażoną. Już w połowie stycznia rozprzestrzenił się w całych Chinach. W drugiej połowie lutego ogniska zakażeń z setkami chorych wybuchły w Korei Południowej, we Włoszech oraz w Iranie. 13 marca WHO podało, że epicentrum pandemii koronawirusa stała się Europa. W mediach pojawiają się informacje, że pierwsze zachorowania w Polsce są tylko kwestią czasu.

Był marcowy chłodny dzień, kiedy Minister Zdrowia prof. Łukasz Szumowski poinformował o pierwszym przypadku koronawirusa w Polsce. Zielona Góra. A więc zaczęło się... Informacja ta budzi moje przerażenie. Wszystkie plany na przyszłość runęły w jednej chwili jak domek z kart. Ludzie przystanęli w swym biegu. Stali się bardziej życzliwi. Jacyś tacy inni. Bardziej wrażliwi. Ogromna lekcja pokory, która zmienia świat.

SARS-CoV-2 zbiera ogromne żniwo. Najbardziej przerażające obrazy napływały z Włoch, Francji, Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych i Anglii. Tysiące osób umierających każdego dnia. Ciała wywożone w samochodach ciężarowych do pobliskich krematoriów. Zbiorowe pochówki. *„Wczoraj do Ciebie nie należy. Jutro niepewne... Tylko dziś jest Twoje.”* Bezcenna prawda Świętego Jana Pawła II.

W tym zestawieniu Polska naprawdę dobrze się trzyma. Maseczki, rękawiczki, ludzie w kombinezonach, którym przyszło walczyć na pierwszej linii frontu. Dodatkowo wolontariusze i wojsko. Tak zwane DPS-y to miejsca najbardziej zagrożone, miejsca, w których ludziom, często schorowanym i samotnym, przyszło stoczyć bój o życie. Strach stał się uczuciem powszechnym.

Ja też się boję... Aby „Zegarmistrz Światła Purpurowy” nie zabrał nikogo z rodziny. I aby nie zabrał mnie. Zawsze lubiłam ten utwór. Czy jestem gotowa? Tyle przecież spraw niedokończonych, tyle słów niewypowiedzianych... I jakoś o wiele bliższe w tym trudnym czasie, nazwanym czasem zarazy, stają mi się słowa piosenki Edyty Geppert „Kocham Cię Życie”.

W takich chwilach często powracam myślami do Ciebie, Babciu kochana. *„Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią się im płaci”* – pisała Wisława Szymborska.

Przypominam sobie Twoje życie, poświęcenie i bohaterstwo. Chciałabym żyć tak, jak żyłaś Ty. Chciałabym mieć w sobie tyle ciepła i odwagi. Zawsze pozostaniesz w moim sercu i pamięci...

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że informacje o pandemii nie byłyby przecież dla Ciebie czymś obcym i nowym. Historia lubi się powtarzać...

9 czerwca 1907 roku to dzień Twoich urodzin. Akt urodzenia spisany został w języku niemieckim. Zabór pruski. Jako dziecko musiałaś przecież przeżyć tragizm pierwszej wojny światowej. 1914 rok. Miałas wtedy 7 lat.

Rok 1918 to powstanie wielkopolskie, walka trwa. A Ty nadal masz przecież tylko 11 lat. Jesteś dzieckiem.

Dodatkowo szalejąca w tamtym czasie grypa hiszpanka. Staram się dotrzeć do informacji na ten temat.

Krakowski „*Głos Narodu*” w wieczornym wydaniu z 22 października 1918 roku napisał:

„Nie było niemal chaty, w której ktoś nie zachorował „na hiszpankę”; zazwyczaj ulegają jej wszyscy mieszkańcy danej chaty po kolei. Śmiertelność jest ogromna. Stolarze po wsiach i miasteczkach nie robią nic innego, tylko trumny. Choroba tak wycieńcza ludność, że staje się na długi czas niezdolną do pracy. Cierpi na tym ogromnie gospodarka na roli. Nie kopie się ziemniaków, które wkrótce zaczną gnić, nie uprawia się roli pod zasiew oziminy.”

Podobno całe gminy leżały w gorączce, a chorym buchała krew z ust i nosa. Przerażające obrazy. Ale nie tylko to dane Ci było kochana Babciu przetrwać.

Zaczynam przeglądać nasze rodzinne pamiątki, są przecież częścią Ciebie i Twojego życia. Szukam ... Analizuję... Wracam pamięcią do dawnych lat.

Feralny w Twoim życiu i całej rodziny rok 1923 budzi moje przerażenie. Tragizm przeszłości. A jednak nigdy nie skarżyłaś się na swój los.

9 lutego 1923 roku umiera Twoja mama Franciszka Gaszczyńska, żyjąc tylko 42 lata. Po 9 dniach zmarł jej synek, a Twój brat Józef, który żył 17 dni. Zostaje pochowany do grobu matki. Miałas wtedy 16 lat. Jako najstarsze dziecko w rodzinie spadła na Ciebie opieka nad rodzeństwem. Było Was siedmioro: Władzia, Stasia, Władek, Witek, Franek, Helenka i Stefanek, który miał wówczas dwa lata. Jednak to nie jedyne nieszczęścia, które spadły na Wasz dom tego strasznego roku.

U Gaszczyńskich ukradli konie. Nieszczęścia chodzą parami, mówi się często. Jednak nie koniec na tym. I znów kolejna, niewyobrażalna wręcz tragedia.

Pożar – to palił się Wasz dom. Rok 1923 nadal trwa. Ponoć ludzie pytali: jakaś klątwa czy co? Przynosicie dobytek do obory. To teraz Wasz dom. Los bywa niesprawiedliwy. Jak Ty sobie z tym wszystkim poradziłaś? Nie wiem. Dobrze, że wspierała Cię Twoja babcia Marcjanna. Faktycznie babcie w naszej rodzinie są niezastąpione. Wykąpać dzieci w miskach, przynieść wodę, wyprać ręcznie, ugotować, narąbać drewna. Trudne było wówczas życie.

Potem wydawać by się mogło, że los w końcu pozwoli Ci bez obaw i lęku spojrzeć w przyszłość. Masz 24 lata. Niezwykła data w Twoim życiu – ślub z Janem Bukowskim. Szkoda, że nie mogłam go poznać. Dziś wiem, że świadkami na ślubie był Twój ojciec, a mój pradziadek Stanisław oraz Antoni Bukowski- jeden z młodszych braci Twego męża. Po ślubie przeprowadziłaś się do Leziony. Rozpoczynasz nowe, szczęśliwe życie. Osiem wspólnych lat. Twoja babcia coraz bardziej niedomaga, potrzebuje opieki. Zabierasz ją do siebie, do Leziony. W 1932 roku przychodzi na świat Wasz pierwszy syn Stefan, po roku córka Leokadia, a w 1936 syn Edward – mój ukochany tata. Dobrze, że w końcu jesteś szczęśliwa.

Rodzinne szczęście zakłóca rok 1937 – umiera Twoja ukochana babcia Marcjanna.

Do dziś dbam o jej grób. To mój obowiązek wobec Ciebie. Rok później Wojciech Bukowski – ojciec i teść.

I nagle 1 września 1939 roku zmienia wszystko. Znow łęk i niepewność jutra. Co przyniesie kolejny dzień? Jak przetrwać ten trudny czas, by uchronić od śmierci dzieci i siebie? Co robić, by bronić ojczyzny? Niekończące się pytania bez odpowiedzi.

Nie tak przecież wyobrażałaś sobie swoje życie, które tak okrutnie zweryfikował tragizm tamtych lat.

Już wkrótce odwoziłaś wozem powożonym przez jednego konia swego męża powołanego na front. Na wozie siedziało troje małych dzieci. Wśród nich był mój tata. Miał wtedy trzy lata. Pewnie wtedy jeszcze nie wiedziałaś, że już w kwietniu urodzisz Wasze kolejne dziecko – córkę Janinę. Imię zapewne nadane po ojcu. To właśnie na stacji kolejowej w Nowych Skalmierzycach przyszło się Wam pożegnać. Zawsze, kiedy próbuję sobie wyobrazić obraz tej chwili, myślę, co mogliście czuć i co czuły małe, bezbronne, nieświadome niczego dzieci, które tak jak Ty nie przypuszczały, iż żegnają się ze swym ojcem na zawsze. Ile w Waszych sercach musiało być wtedy bólu, ile strachu i niepewności, czy los pozwoli Wam jeszcze spotkać się kiedyś, by znów rzucić się sobie w ramiona. A z drugiej strony ile determinacji, poświęcenia i patriotyzmu, by zostawić rodzinę i iść walczyć w obronie ojczyzny.

A co dziś wiem o swoim Dziadku żołnierzu? Akt urodzenia Jana Bukowskiego sporządzony w języku niemieckim, zabór pruski, imię Johann, urodzony 22 października 1904 roku w Sławinie, syn Wojciecha i Marianny Bukowskich. W przechowywanym przeze mnie do dziś paszporcie naszego rodzinnego bohatera odczytuję informacje: „*Zawód – rolnik, wzrost średni, włosy blond, oczy niebieskie.*”

Pamiętam, że zawsze, kiedy opowiadałaś o chwili pożegnania, pojawiały się w Twoich oczach łzy, a wzrok kierowałaś w kierunku stacji, jakby z nadzieją, że nowy pociąg przywiezie Ci utraconą na zawsze miłość. I wówczas wskazywałaś na wyjątkowy list, który otrzymałaś po Waszym rozstaniu. Do dziś widzę ten obraz, kiedy wyciągasz go ze swej skarbnicy pamiątek. To ostatnie słowa, jakie pozostały po moim Dziadku na zżółkniętej już dziś kartce papieru. Jaka szkoda, że czas zamazał już litery i nie wszystko mogę z niego odczytać. Ale Ty znałaś go na pamięć. „*Kochana Żono...*”

Zawsze długo trzymałaś go w swych dłoniach. Może to dawało Ci poczucie wiary, że On gdzieś w niebie czeka na Ciebie.

To był jedyny i ostatni list, a potem pustka i długie dni oczekiwania w strachu i lęku o dzieci i męża. Co wówczas czułaś? Szkoda, że nie mogłam być wtedy przy Tobie.

Dwa i pół roku ciszy, milczenia, niepewności, nadziei... Nadziei niespełnionej. Powtarzałaś, że tej chwili nie dopuszczają do swoich myśli. Pamiętam, że z wielkim bólem w oczach podawałaś mi do ręki ten najbardziej tragiczny w Twoim życiu list. Jego treści nie zapomnę nigdy:

Wieś Jeziorko, dnia 16 IV 1941 roku

Szanowna Pani Bukowska!

Na pocztówkę Pani z dnia 29 marca 1941 roku odpowiadam, że otrzymałem i donoszę Pani, że mąż Pani został zabity w mojej wsi z broni pancerniej wojsk niemieckich w dniu 16 września 1939 roku o godzinie 12 w południe i został pochowany przez mego kolegę poprzedniego sołtysa, który obecnie znajduje się w więzieniu. Ale akta wszystkich poległych znajdują się u mnie i przy nim był tylko taki dowód, tj. kartka Bukowski Jan rocznik 1904 Ostrów Wielkopolski. Pieniądzy przy sobie miał 5 zł 62 gr., które są oddane do Czerwonego Krzyża w Łowiczu. I jak z powyższego wynika nie można było Panią zawiadomić, gdyż nie było dokładnego adresu. Z początkiem grudnia 1940 roku zwłoki męża zostały wyjęte z grobu przez komisję ekshumacyjną i w trumnach pochowane na cmentarzu wojskowym. Tak że wiadomo gdzie i czyje zwłoki są pochowane. Czekam odpowiedzi.

Brzozowski Władysław

Ps. Szanowna Pani. Jeżeli Pani tą pocztówkę otrzyma, to niech napisze list, co słyhać i czy się zgadzają lata. Zaznaczam, że to był Poznański Pułk Artylerii.

Znana z historii bitwa nad Bzurą. To tam zginął mój Dziadek – żołnierz – bohater. Największa bitwa kampanii polskiej 1939.

Kochana Babciu. Tyle czasu. Musiałaś szukać dziadka, skoro wysyłałaś listy. Trudno się dziwić. Nadzieja umiera ostatnia. Masz przecież przy boku już czworo dzieci. Najmłodsza Janinka niedawno zaczęła chodzić. Nigdy nie pozna swego ojca. Zginął w obronie ojczyzny, mając 35 lat. Wojciech Kejne pisał:

Zapamiętaj tamten wrzesień (fragmenty)

*Zapamiętaj tamten wrzesień,
Czerwień łun i czerwień krwi.
Niech pieśń o nim wiatr poniesie,
Jak memento w przyszłe dni.
Tych znad Bzury i tych z Helu
Przez bitewny dostrzeż pył.
Tamten wrzesień dla nich wielu
Już ostatnim wrześnie był.*

Dobrze, że każdy z żołnierzy ma swój imienny grób. Zasługują na to. Kiedy po raz ostatni byłam na cmentarzu w Kocierzewie padał deszcz. A cmentarz był niezwykle cichy.

„Deszcz, jesienny deszcz, smutne pieśni gra. Mokną na nim karabiny, hełmy kryje rdza” – śpiewali w oddziałach partyzanckich w 1943 roku.

Babciu droga, jakże wówczas musiał załamać się Twój świat? Jak wiele polskich matek i żon zostałaś z czworgiem małych dzieci zupełnie sama. 29 września 1943 roku w miejscowości Bittersel umiera również matka dziadka Jana Marianna Bukowska, zesłana najprawdopodobniej na przymusowe roboty do Niemiec.

A potem czeka Cię wysiedlenie w rejony pod Łodzią. Codziennym posiłkiem staje się tylko kasza. Wasze ziemię i dom przejmuje gospodarz niemiecki.

Łza spływa mi z oczu. Próbuję wyobrazić sobie ten obraz, kiedy siedzisz Babciu w przepelnionym pociągu z czworgiem małych dzieci i nie wiesz, co przyniesie Ci los. Ten obraz wzrusza mnie szczególnie. Ile trzeba mieć sił, by to wszystko przeżyć.

Czworo dzieci, żadne nie pamięta swego ojca. Byli zbyt mali. Ale mimo to, często wracali do tych przeżyć przekazanych im przez Mamę.

Po wojnie wróciłaś do Leziony. Bieda, mały drewniany domek. Kto posieje zboże? Kto nakarmi zwierzęta? Kto zaopiekuje się dziećmi? Wszystko na Twojej głowie. Mój tata często powracał wspomnieniami do tamtych lat. Miał wówczas 9 lat. Wielokrotnie opowiadał, że dzieci na wsi już od najmłodszych lat musiały ciężko pracować na roli.

Na wyżywienie Wam starczało, mleko od krowy i owiec, ziemniaki. Wstawiałaś wcześniej rano, by upiec dzieciom chleb. To był Wasz codzienny posiłek.

Potem na szczęście było już coraz lepiej. Dzieci porosły. Musiałaś być dumna z syna Edwarda, gdy przysyłał zdjęcia z wojska w Grudziądzu a potem w Malborku. Żołnierski mundur, tyle dumy i tyle tragizmu.

Dzieci pozakładały już swoje rodziny. W rodzinnym domu pozostał syn Edward. Rodzą się wnuki. Z biegiem lat nie jesteś jednak sama. Masz wnuki i masz mnie.

Zawsze lubiałaś odwiedzać swój rodzinny dom w Chotowie, z którym wiązało się przecież tyle wspomnień. Trudno się dziwić.

*„Lubię wracać w strony, które znam,
Po wspomnienia zostawione tam,
By się przejrzeć w nich, odnaleźć w nich,
Choćby nikły cień pierwszych serca drzeń.”*

Śpiewał Zbigniew Wodecki.

Masz jeszcze pięcioro przyrodniego rodzeństwa z drugiego małżeństwa ojca ze Stanisławą: Jadwigę, Jana, Cecylię, Genowefę i Teresę. W sumie było Was dwanaścioro.

Pamiętam, że nawet lekcje odrabiałam w Twoim pokoju. A Ty robiłaś wówczas na drutach, swetry, szaliki, rękawiczki, skarpety dla całej rodziny, istne arcydzieła.

Czy mogę spać z Babcią? – to moje często powtarzane dziecięce pytanie. Zawsze mogłam. Chociaż astma coraz bardziej Ci dokuczała. Czasem przejście do innego pokoju było dla Ciebie problemem.

Pamiętam dobrze Twój pokój. Krzyż wisiał nad drzwiami. Po lewej stronie stare drewniane łóżko, pierzyna, nocny stolik, w którym przechowywałyśmy Twoje lekarstwa. Za łóżkiem drugi stolik nocny, na buty. Na środku stół z szufladą, skarbonka przeróżnych nici i igieł. Na stole wazon ze sztucznymi kwiatkami, przy nim cztery krzesła. Po prawej stronie trzydrzwiowa szafa z dużym lustrem. W niej ubrania, osobno te, w które mieliśmy Cię ubrać do trumny. Na szafie stały kwiaty doniczkowe, które systematycznie podlewałam. Bardzo lubiałaś zieleń. Na podłodze trzy chodniki złożone niczym dywan. Nad łóżkiem wisiał bardzo stary obraz Matki Boskiej z lilią, będącej przecież znakiem czystości ciała i duszy, nadziei oraz zwycięstwa. Codziennie odmawiałaś przy nim różaniec.

Pamiętam ten dzień, kiedy któregoś dnia usiadłam jak co dzień przy Twym łóżku. Trzymałaś mnie za rękę. Jakbyś przeczuwała swoją śmierć.

„Kiedy już mnie nie będzie, zabierz ten obraz ze sobą. Niech Matka Boska idzie z tobą przez całe życie.” – nigdy nie zapomnę tych słów i tego dnia. I jest ze mną. Wisi w sypialni nad łóżkiem, jak niegdyś w Twoim pokoju.

Babcia zmarła 6 października 1991 roku. Dokładnie w tym samym dniu, w którym zmarła jej babcia Marcjanna. Została pochowana w grobie swojego dziadka Wojciecha Bukowskiego. Syn Edward – mój ukochany tata- umiera w 2002 roku, córka Janina w 2006, a syn Stefan – w 2009 roku. Została tylko córka Leokadia.

Wiesz Babciu, chociaż Twój pokój od wielu lat jest pusty, to jesteś i zawsze pozostaniesz dla mnie wielkim człowiekiem. Dziękuję Ci za to, że byłaś w moim życiu. Dziękuję za wspólne rozmowy, troskę i miłość. Za lekcję ogromnej wiary i pokory.

Kiedy myślę o Twoim życiu, widzę w nim wielkie bohaterstwo, uczciwość i pracowitość. Jednak wierzę, że Wasza ofiara miała sens. Dlatego stojąc w Świątce Zmarłych wśród kwiatów i zniczy, jawi mi się przed oczyma obraz Was obojga. Mojej ukochanej Babci i Dziadka- rodzinnego bohatera, którzy złączeni za ręce podążają w kierunku nieba, jak żołnierze z Westerplatte. Ich ręce oplata biało-czerwona flaga, a drogę wskazuje anioł wraz z orłem białym w koronie.

Chciałabym Ci kiedyś powiedzieć, jak Inka do swej babci, że zachowałam się jak trzeba...

Mam nadzieję kochana Babciu, że pandemia kiedyś minie i nie zabierze nikogo z naszej rodziny. Statystyki podane w dniu dzisiejszym nie napawają optymizmem. Liczba zgonów w Polsce na COVID-19: 1521, na świecie to już 534 460 osób. Jednak wierzę, że przeżyję i nauczę się żyć na nowo, ale już zupełnie inaczej. Poznałam najważniejsze wartości w życiu. Poznałam ciężar samotności. Chcę żyć inaczej. Muszę dobrze wykorzystać dany mi jeszcze czas...

Maria Polaczek

Godło: „Jeżyna, Tarnów

Wyróżnienie proza

Dom na wzgórzu

Stał jakoś tak w połowie zbocza, mając za plecami ścianę lasu. Nikt nie pamiętał, kiedy i kto go zbudował. Wyglądał, jakby wyrósł pośrodku tych wszystkich chaszczy, które go otaczały. I chyba tak było, bo przecież w przeciwnym wypadku choćby najstarsi mieszkańcy wioski wiedzieliby o nim coś konkretnego...

Tak więc stał sobie na wzgórzu i chociaż jego pochodzenie otaczała tajemnica, sam bynajmniej tajemniczo nie wyglądał. Ot, zwykła rudera, jakich wiele! Dach wprawdzie był, jakimś cudem, jeszcze cały, ale zapadł się pośrodku, a dwa małe, półokrągłe świetliki, wyglądały jak brwi uniesione ze zgrozą. Okiennice zwisały smętnie, a szyby, te które ocalały, powlekała warstwa kurzu. Na niewielkim ganku panoszyły się dzikie pnącza. Ludzie, przechodząc i przejeżdżając obok wzgórza, odwracali wzrok z niesmakiem.

– Wzięłyby ktoś i zburzył to paskudztwo! – sarkali. – Wioska zadbana, czysta, piękna, a ta rudera tylko nam opinię psuje i wygląda, jak jakiś wrzód!

Ale dom stał, dni i noce przepływały nad nim, jak deszczowe i śniegowe chmury, słońce oświecało go tak samo, jak stojące u stóp wzgórza, odremontowane, wycackane budynki. Mijały lata, jesienie, zimy i wiosny, a on wciąż wyglądał tak samo, a upływ czasu można było poznać jedynie po wyglądzie zdziczałego ogrodu, który go otaczał. Wiosną kwitły powykręcane ze starości, jak ciało paralytyka, jabłonie i grusze, a w splątanych zaroślach porzeczek i agrestu ptaki bezpiecznie wiły swoje gniazda. Latem pszczoły przylatywały na wyciągające się z wysiłkiem ponad chwasty kwiaty, ale chwasty też kwitły i czasem w tej powodzi kwieciana nie można było odróżnić, gdzie kończy się dawny klomb, a zaczyna dzika łąka. Pszczoły też miały tam swoją kwaterę w starych, spłowiałych ulach, wyglądających

jak szare grudy, które tylko w promieniach zachodzącego słońca jaśniały złocistą obietnicą słodocy w nich zamkniętej. Nikt nie wiedział, co dzieje się w zapuszczonym ogrodzie. Dostępu do niego broniły zwały jeżyn i dzikiego wina, porastających to, co pozostało z ogrodu. Wyglądało na to, że stary dom umarł i tkwi, jak zasuszona mumia, pośrodku ogrodu, a życie przepływa wokół niego. Czasem tylko jego okna zachodziły mgłą i przypominały wtedy załzawione oczy człowieka, wyglądającego z tęsknotą powrotu bliskiej osoby. U jednych rudera budziła odrazę, innych śmieszyła, jeszcze inni, i tych było najwięcej, przechodzili pomimo obojętnie, nawet nie spoglądając w jej stronę. Dom po prostu był od zawsze i większość mieszkańców wioski przyzwyczała się do jego widoku tak, jak przyzwyczajamy się do ogrodzeniowego słupka czy starego pniaka przy drodze.

Pewnego dnia stało się coś dziwnego. U stóp wzgórza zatrzymał się samochód i wysiadła z niego młoda para z małą, kilkuletnią, dziewczynką. Kobieta zapatrzyła się na wzgórze. odwiecznym obronnym gestem kładąc dłonie na wystającym brzuszku. Dziewczynka otworzyła szeroko oczy i usta, chwytając ojca za nogawkę spodni. Spojrzeli na siebie, a kobieta uśmiechnęła się słodko do męża. On najpierw zmarszczył brwi, ale zaraz rozpogodził się i spojrzał na żonę z taką miłością, że aż ich córeczka zaklaskała w rączki i zatańczyła z radości. Postali jeszcze chwilę i pojechali. Wrócili jeszcze kilka razy, za każdym razem zatrzymywali się u stóp wzgórza i patrzyli na dom. Kilka osób widziało mężczyznę, jak zagadywał najstarszych mieszkańców wioski. Podobno pytał o dom...

Tymczasem kobieta i dziewczynka wspinały się stromą ścieżką, choć kobiecie było coraz trudniej ze względu na noszone pod sercem życie, i zbierały dziczale i polne kwiaty, coś sobie opowiadając ze śmiechem i pokazując palcami. A potem nie było ich długo...

I znów czas przepływał nad domem, mijali go ludzie, którzy, nie mając już nadziei na to, że wioska pozbędzie się szpecącej rudery, nawet nie spoglądali w tamtą stronę. Zresztą, musieliby podnieść wzrok, a, ten przywiązany był mocno do ich codziennych, udeptanych ścieżek, skupiony na powszednich zmaganiach z życiem. Dom i ogród nawet byli z tego zadowoleni. Życie płynęło swoim utartym rytmem wśród starych drzew i splecionych zarośli. Nikt tu nie zaglądał, nie wpadał, żeby wypić w spokoju faszeczkę, nie zakłócał spokoju ptasich i pszczelich rodzin. Może to dlatego, że ciężko tam było się dostać, a może z tego powodu, że przebąkiwał ten i ów, jakoby widział tam ducha...

Mijały dni i tygodnie, znacząc upływ czasu rozkwitem i uwiędnięciem, owocowaniem i opadaniem... O starym domu już nikt nie pomyślał. Starzy ludzie, którzy jeszcze może pamiętali jego dobre czasy, wymierali, a młodzi ciekawsze sprawy mieli na głowie...

– Widziałeś rudere? – spytał raz jeden miejscowy pijaczek drugiego, siedząc na ławce przed sklepem z pierwszą tego dnia butelką piwa.

– A co?

– A bo wiesz, chyba się zwała albo co? Szedłem tamtędy wczoraj, a tu nie ma. I wiesz co? Ktoś się tam pobudował!

Wieść rozeszła się po wsi lotem błyskawicy. Mieszkańcy podchodzili do stóp wzgórza i zadzierając głowę w górę, z zadziwieniem stwierdzali, że nie poznają tego miejsca. Zniknęły gdzieś zwały chaszczy, choć pozostały jeżyny i piękna łąka. Stare drzewa w sadzie ktoś poodczyszczał z uschłych gałęzi. Ule były odnowione i odmalowane, czekające na słodką obfitość lata, a obok starych zarośli agrestu i porzeczek, pozostawionych dla ptaków, rozrastały się nowe krzewy, obiecując urodzaj owoców. Ale największą sensację budziła rudera. Nie było jej! Zamiast niej pysznił się niewielki, ale piękny domek, z jasnymi oknami, uroczym ganeczkiem oplecionym kwiatami. W ogrodzie bawiły się dwie małe dziewczynki, a ich matka siedziała z robótką na huśtawce i spoglądała z miłością na dzieci. A potem czule zerkąła na dom... A ten stał dumnie wśród kwiecica i zdawał się uśmiechać ze szczęścia. Zresztą także od jego mieszkańców promieniowały wręcz miłość i szczęście... Widać było, że kochają siebie nawzajem i dom, w którym upływało im rodzinne życie. Mężczyzna stale znajdował coś do roboty przy budynku i ogrodzie, i widać było, że sprawia mu to przyjemność. Żona i córki towarzyszyły mu, podsuwały pomysły i pomagały, jak potrafiły. Nic też dziwnego, że domek wyglądał jak z bajki. I nic dziwnego, że jego mieszkańcy tak go kochali...

– Ale cacko! – zachwycali się mieszkańcy wioski.

I tylko najstarszym, którzy jeszcze pamiętali rudere, zdawało się, że widzą coś znajomego w kształcie budynku, niewielkim ganku, zarysie dachu i półokrągłych świetlikach, które wyglądały teraz jak brwi uniesione w radosnym uśmiechu...

Karolina Majorowska, 14 lat

Godło: „MajKa”, Warszawa

3 miejsce, poezja młodzież

Każdy siebie ma tylko na względzie

Z cyklu: Edukacja młodych baranów

Stary baran Józwa, bardzo kocha dzieci,
Lubi łowić ryby, czas mu wolno leci.
Za punkt honoru uważa jednak edukację,
Bo to ona kształtuje nową populację.

- Powiem wam krótko moje barany,
Że każdy z was jest wykorzystywany.
A to moralnie, a to znów etycznie,
Ale głównie jednak – to ekonomicznie!.

Weźmy na ten przykład, proszę pana,
Takiego zwykłego, pospolitego barana.
Krótko mówiąc, mój drogi kolego,
Zawsze on szuka od siebie głupszego.

Bo jak go znajdzie, to mu nie daruje
I zaraz szybciotko coś wykombinuje.
Tak go omami, tak go zbałamuci,
Że na swoje racje zręcznie go nawróci.

I tak powolutku ten świat nam się kręci,
Że są między nami – głupszi i mądrzejsi.
A ten cały problem od dawna jest znany,
Bo z reguły, ktoś musi być oszukiwany.

Pisał już o tym, nasz Fredro stary,
Ale nikt mu nigdy nie dawał wiary.

„Gdyż każdy siebie ma tylko na względzie,
A tego drugiego, zwykle za narzędzie”.

Lolo – gwiazda Disco Polo

Z cyklu: *Edukacja młodych baranów*

- Posłuchajcie mnie barany,
Bo ja jestem bardzo znany.
Śpiewam, tańczę i pozuję,
Doskonale się z tym czuję.

Mam kolczyki tu i tam,
Tataże też gdzieś mam.
Moje ciuchy są markowe,
A i włosy – kolorowe.

Gdy pytacie: – Jak matura?
W mojej głowie wielka dziura.
Nie pamiętam nic ze szkoły,
Tak jak inne też matyły.

Bo ta wiedza, nic nie znaczy.
Niech więc każdy mi wybaczy,
Że nie mówię górnolotnie,
W szkole miałem kiepskie stopnie.

Ważne, że mam swoich fanów
I to wśród młodych baranów.
Każdy kto mi przyklaskuje,
Niech mnie lepiej naśladuje.

Tak powiada baran Lolo,
Młody gwiazdor Disco Polo.
Dzisiaj w szkole ma koncerty,
Każdy uczeń – „wniebowzięty”.

Tylko stary woźny mruczy:
– Czego ten idiota uczy!
Dzieci w niego zapatrzone,
Widać jak są zachwycone.

Takie teraz czasy mamy,
Że idiotów wciąż słuchamy.
Co brzdąkają, a nie grają,
Tylko wciąż się przechwalają!

I nie liczę, że w przyszłości,
U kresu mojej starości,
Będzie lepsze jakieś granie,
Gdyż takie baranów chowanie.

Mruczy dalej woźny stary,
I sam szuka swej gitary.
– Bo najlepiej to się czuję,
Gdy sam sobie pobrzdkuję

Bez cukru i soli

Z cyklu: Edukacja młodych baranów

Dzisiaj jest specjalna lekcja,
A właściwie – to prelekcja
I nie będą to tylko dwa zdania,
Na temat dobrego odżywiania.

Prelegentka, młoda pani,
W klasie widać – są jej fani.
Jest ubrana wystrzałow, o,
Trochę jakby na ludowo.

Założyła bluzkę w pasy,
Na jej spodniach są lampasy,
A do tego futro stare
Widać, że dość wyleniałe.

Pani już się przywitała,
Przy tym lekko się zaśmiała.
I powiada: – Trzeba silnej woli,
Żeby nie jeść dużo cukru i soli.

Sól i cukier bardzo szkodzi,
Wy jesteście jeszcze młodzi.
Musicie unikać chipsów i coli,
Bo tam jest dużo cukru i soli.

Jeżeli teraz tego dużo zjecie,
To na stare lata zachorujecie.
Dbajcie o swoje zdrowie barany,
Świat jest solą i cukrem naszpikowany!

– Co to za chore czasy –
Mówi Gryziol z naszej klasy.
– Ja mam unikać chipsów i coli,
Bo mają dużo cukru i soli?!

A co to za życie na takiej diecie.
Czy wy barany tego nie rozumiecie?!
Wszystkiego nam odmawiają i żałują,
Mówią że takie produkty tylko trują.

A ja sobie zjem co mi pasuje,
Jeśli nawet to mnie truje.
Chcę mieć odrobinę przyjemności,
W czasach baraniej młodości.

Przynajmniej czegoś w życiu poprobuję,
Bo na starość, gdy ktoś wirusa wyhoduje,
To będę sobie umierał powoli,
Ale z dużą ilością cukru i soli!

Mikołaj Ślemp, 13 lat
Godło: „Mikson”, Goczałków
Wyróżnienie, poezja młodzież

Biało-czerwone dojrzewanie

Wymiętoleni podniosłym nastrojem
Stoimy jak słupy na szkolnym apelu
Połykamy ziewnięcia pod czujnym okiem oświaty
Sumienia ubrane w białe kołnierzyki
Nucą patriotyczne pieśni
Jeszcze wiersz unoszący zachwyt do nieba
I trzepot białych, czerwonych wstążek
Zmysły na baczną oczekujące spocznij

Tak dziś
A kiedyś...

Mickiewicz czytany skrycie przy świetle latarki
Z dumą noszony harcerski mundurek
Ofiarna czerwień na białej koszuli
Gdy wrogie buty kraj pustoszyły
I to marzenie, by polska flaga
Wiatr mogła chłostać w beztróskim tańcu
Do mazurka szeptanego sercem

Jan Paweł II

Ty nie wiedziałeś co to lenistwo
Pasji miałeś tyle, że mogłeś być artystą
Nie marnowałeś czasu korzystając z wymówek
Siłę czerpałeś z górskich wędrówek

Sport towarzyszył Ci od najmłodszych lat
Dobrej kondycji zazdrościł Ci cały świat
Z łatwością żonglowałeś słowami
Języków obcych nauczyłeś się latami
Miałaś ku temu zdolności
Które kształciłeś do późnej starości
Byłeś przy tym skromnym człowiekiem
Takim, który zawsze pomoże w potrzebie
Kochałeś dzieci, szanowałeś inne wyznania
Zrobiłeś tak wiele dla religijnego pojednania
Podróży po świecie mnóstwo odbyłeś
Wzorcem sługi Bożego dla nas byłeś
Twe słowa otuchy nam dodawały
Usta Twe nie tylko nas napominały
Byłeś ludzki, ciepły, rozumiałeś każdego
Nie było w Tobie pozerstwa żadnego
Przy Tobie wszyscy czuli się kochani
I ręką Boga czule po głowie głaskani
Byłeś nam ojcem, bratem, przyjacielem
Wlałeś w nasze serca miłości tak wiele
Bez Ciebie świat nie jest już taki sam
Ale wiemy, że w niebie kibicujesz nam
Pokazałeś, w jaki sposób mamy żyć
By każdy mógł z Bogiem w wiecznej przyjaźni być

Sekretarka Bożego Miłosierdzia

Wielodzietna rodzina
Rolnicze korzenie
Proste początki
A mistyczne zakończenie
Jezus ją wybrał
Ukazał jej Swe oblicze
Posłusznie Go słuchała
Poświęciła Mu swe życie
Dla Boga złożyła śluby wieczyste

Oddała Mu duszę i serce czyste
W „Dzienniczku” opisała duchowe doświadczenia
Z jej wyróżnieniem wiązały się też cierpienia
Ataki złych sił nie złamały jej ducha
Wiara w Boże Miłosierdzie – to była dla niej otucha
Dzięki Świętej Faustynie powstał obraz Jezusa
Który sprawia, że słabnie niejedna pokusa
Koronkową modlitwą umacniamy się w wierze
Słowom i świadectwu Faustyny wierzymy szczerze



Anna Wojno, 15 lat
Godło: „Słowik”, Kobyłka
Wyróżnienie, poezja młodzież

W kropce

Gdy myślę
Że sił już nie starczy
Kolejnym rozczarowaniom
I ucieczka się zdaje
Rozsądnym rozwiązaniem

Przestaję
Przystaję
Pozostaję przez chwilę
W kropce
Bo czasem ta kropka się może
Okazać całkiem przyjemna

Nie pędzę już
Bo po co
Układam się do snu
W rozszalałym od dawna
Huraganie myśli
I zasypiam nad swoją
Frustracją, bezsilnością

A potem
Tak na przekór
Gdy budzę się nad ranem
Jest spokój
Nie na długo
Więc piję kubek kawy
Zakładam okulary

I wracam do mojego
Nic nie robienia

Aż w końcu mi przechodzi
I nadchodzi pora
Wyjść z kropki
I to nie łatwe
Bo już tam sobie
Nawet
Dom z czasem urządziłam

Lecz wracam
Wyruszam znowu
W podróż
Przez stopy obowiązków
Stresem wypełnione
Na co dzień
Bez wytchnienia

I wiem
W tej kropce
Wcale tak źle nie było
Był czas na przemyślenia
Na brak przemyśleń
Lecz życie nie zaczeka
Zbyt długo
Na człowieka

O tobie

Nieczęsto
Bezwolnie
Pół nocy
Myślę o tobie
W sieć gęstą
Marzeń
Łapię się na tym
Że myśli me
Niepokornie
Znów krążą po złych torach
Widzę twe oczy

I uśmiech
I ciało
A by się zdawało
Że dawno już zapomniałam
O ładnych wieczorach
Porankach
Plecionych latem
Nad rzeką
Wiankach
Daleko
Nad półżywym jeziorem
Nieczęsto
Śnię o tobie

Sztorm

Czasem niczym prosię
Wpadnę do koryta
Rzeki przeznaczenia
I poproszę
O małą łódkę
Garść nadziei
I krzyżyk na drogę
Gdy sama wyruszę
Na podbój świata

Może popłynę
A może bez wiosel
Dryfować będę
Przez oceany życia
Sztormy przeżyję
Utonę
Jedynie na morzu Spokojnym
I spokój mnie na dno pociągnie

Będę jak dziki rozbitek
Jak pirat rabować będę
Całą radość co mogę
I biednym ją rozdawać
Bo cóż to za życie bez smutku
Nieszczere
A ja kłamstwa wszelkiego
Dawno już się wyrzekłam

Pytasz czy wrócę? Mój drogi
A jakże mi wiedzieć to wszystko
Przede mną otwarte morze
I może
Zechcę czasem zawinąć
Do znajomego portu
Gdzie będziesz na mnie czekać
Lub nie
I przeżyjesz
Swą podróż całkiem beze mnie

Dryfuję bez celu bez końca
Wiatr targa mnie po falach
A ja myślę
I marzę
O życiu z tobą w przystani
Lub śnie pod ziemią samotnym

Nad morzem
Czasem spotkać mnie możesz
Lecz życie niecierpliwe
Podobnie jak i ty

Dominika Liszkiewicz, 16 lat
Godło: „Stokrotka”, Piła
Wyróżnienie, poezja młodzież

Kaplica Sykstyńska. Grzech pierworodny

I. Lilit

to dlatego
że chciałam go odzyskać
bo choć
wtedy był już z Ewą
to przecież
ja byłam przy nim pierwsza

i choć dziś
już prawie nikt
nie pamięta
jak wtedy wyglądałam
to przecież
urodą nie ustępowałam Ewie

wszak później
- dopiero później! -
stałam się wężem

zrozumieć
ja chciałam go tylko odzyskać

II. Ewa

to pewnie dlatego
że chciałam wciąż więcej i więcej

bo gdy u boku Adama
zajęłam jej miejsce

myślałam że już wszystko
jest w moim zasięgu

dlatego
gdy Lilit powiedziała
że stanę się jak Bóg
zerwałam ten przeklęty owoc

więc to pewnie dlatego
że chciałam więcej i więcej

III. Adam

to dlatego
bo nie mogłem pozwolić
by ta która była
ciałem z mego ciała
odeszła samotnie

więc gdy dała mi wtedy owoc
podałem jej rękę
choć już słyszałem płacz aniołów
i wiedziałem
co będzie potem

to dlatego
bo nie chciałem
by odeszła samotnie

Amelia Izabella Chwist, 17 lat

Godło: „Amelia”, Sosnowiec

I miejsce, proza młodzież

marzec '20

Wyglądając przez okno w czasie kwarantanny, pisała Amelia, ma się wrażenie, jakby się podglądało świat. Dlatego wychodzę codziennie: aby być jego częścią.

Amelia chciała pić pełną piersią ze złotego kielicha życia. Chciała zanurzać się w nim jak róża w dzbanek. Niech opływa ją wkoło niby morska woda, niech całuje ją po rękach ławica małych srebrnych rybek! Przyjmie wszystko co życie jej ofiaruje – nawet zatapiające fale, porywające sztormy, wiatry szarpiące włosy... Ale co jeśli nie było wiatru, choćby najłżejszego powiewu, a ona stała na żagłowiec pośród martwej ciszy?

Tak właśnie Amelia się czuła, kiedy wybuchła pandemia, a ją zamknięto w domu, w ciasnej kamienicy. Wytrzymała dwa dni. Trzeciego wyskoczyła przez okno.

Oto co napisała, siedząc bosko na swojej św. Ławce w Parku:

Epidemiczna wiosna

Brzozowy park niski i szerniała płatanina gałęzi krzyżują się pod baldachimem wiosennego (siódmego) nieba. Wyciągam ręce w stronę rzeźb obłoków i czuję na rękach Cumulusy-Cumulonimbusy i pocałunki słoneczne. Ptak wiosenny świergoce, a stokrotki zasiane w glebie zdają się pierścienić i zarazki ssać epidemiczne.

O, przekorna pleśńio poezji! Powinniśmy tańczyć od rana do nocy, palić marzanny, składać krwawe ofiary słońcu, świętować sabat wiosny. Tymczasem; każdy dusi się pozamykany w czterech ścianach, wygląda przez okna szyb... Panuje zaraz (słowo pochodne: zgroza). Lecz

*– Serce ordynarnieje
i godzi się z błotem
skoro w nim słońce
usta zanurzyło złote...[1]*

Tutaj wpis się kończy, gdyż złapał ją pościg: Tatuś z eskortą Babci i Dziadka. Przyjechali samochodem do Parku i kazali jej wejść do środka. Amelia zgodziła się. Grunt, że coś się wreszcie zdarzyło!

Amelia miała pewnego, jak to mówiła Babcia, Amaranta. Sprowadziła go do domu, mimo zakazu Mamy. Gdy Amarant przyszedł, Amelia poprosiła go – żeby trochę udobruchać Mamę – aby wyjaśnił im, czym jest kobieta. Rozsiadły się z Mamą na kanapie w salonie, a Amarant stanął przed nimi, drżąc z zadowolenia, zatarł ręce i rozpoczął swoją tyradę:

– Kobieta powstała w wyniku zmian, które zwiększyły produktywność ewolucji (rozmnażanie bezpłciowe jest mniej opłacalne) i doprowadziły do powstania „dwóch odrębnych jednostek” tego samego gatunku. Jest ona pewnego rodzaju uzupełnieniem mężczyzny...

W tym miejscu przerwał, przerażony tym co powiedział. Zaczął szybko tłumaczyć:

– No wiesz, Bóg powiedział tak: daję ci laseczkę, licz z nią jabłuszka i króliczki. Dlatego obecnie babki są stroną wyzyskiwaną w deep state’owej rzeczywistości...

Mama oniemiała. Wpatrywała się z niego z otwartymi ustami, z parującym kubkiem malinowej herbaty w rękach (są to ręce opalone, spracowane i czułe). Amelia musiała ratować honor Amaranta, więc powiedziała:

– Tak, tak, to prawda! Już w najstarszej i najmądrzejszej księdze świata kobieta przedstawiana była jako istota nie-niezależna i słaba. Nie została stworzona jako samodzielny, odrębny byt, lecz jako część mężczyzny – zrodzona z fragmentu jego ciała. Zatem wygląda na to, że już w pierwszej chwili (momentu 0) kobiety były zniewolone; więc niepodległości odzyskać nie mogą, ponieważ nigdy jej tak właściwie nie posiadały.

– Ale! – mówiła dalej, unosząc jeden palec w górę – Czy naprawdę już w pierwszej chwili kobieta była, zniewolona”? A może właśnie była wywyższona? Bo przecież Bóg nie stworzył jej ze stopy mężczyzny jak niewolnicę, lecz z jego boku, jako przyjaciółkę.

I tak rozmawiali w ciasnej, sosnowieckiej kamienicy.

3. kwietnia '20

Pachnie mi prymulka od Dziadka. Jest zupełnie czerwona. W takim kolorze najlepiej jest kobietom i kwiatom.

Ze wszystkich kwiatów najbardziej lubię mleczce. Takie są radosne i szczerze.

Myślę, że zanim coś napiszę to idea musi dojrzeć w mojej głowie. Pomysły są jak gdyby jabłka w sadzie; trzeba je pielęgnować, wystawiać na słońce, wachać ich zapach. Dopiero po jakimś czasie można zerwać je słodkie i pąsowe. Ale można także zostawić je i zapomnieć: wówczas spadną na ziemię, poobijają się i zezrą je robaki.

„Calaść dojrzewała w ukryciu, aż ujawniła się w ciągu jednego dnia.”

Wiosną trzeba wstawać rano. Zieleń jest wtedy przejrzysta, światło czystsze. Więcej ciszy w powietrzu. Powietrze-welon, które jednocześnie odkrywa i zasłania. Człowiek wydaje się sobie lepszy i mądrzejszy. Obmyty przebaczeniem, które przyniosła noc.[2]

Amelia zawsze rano czuje, że może zmienić świat, ale w miarę jak dzień zbliża się ku końcowi, wypala się, jak płonący knot albo raczej „knotek”.

W ogóle Amelia regularnie wpadała w upadki – tak co trzy, cztery dni. Kto by pomyślał, że nawet te duchowe wybebeszenia staną się rutyną?

Zabijała ją bezcelowość wszystkiego. Amarant powiedział, że jej upadki biorą się z nadmiaru wolnego czasu. A powiedział to z pewnego rodzaju wyższością, bo on całymi dniami obiera kartofle. Czy istnieje coś takiego jak „nadmiar wolnego czasu”?

Epikur twierdził, że małe przyjemności dostarczają najwięcej szczęścia. Może powinna bardziej cieszyć się ze spacerów po Parku, z gonienia Kartofla, świnki morskiej, po ogródku, patrzenia w chmury na Łąkach Idylli z kłosem trawy w zębach, z patrzenia w gwiazdy z komórki Dziadka...

To wszystko to małe przyjemności codziennych chwil, na które nie zwraca się uwagi – ale jednak jak bardzo się będzie za nimi tęskniło, kiedy nagle się skończą! Powinniśmy bardziej je doceniać.

8. kwietnia ,20

ul. Myslovitzka 7

Jak każdego poranka siedziałam w naszym brzydkim, słonecznym ogródku, gdy zobaczyłam gołąbka. Próbował napić się z beczki, ale od paru dni nie padało i poziom wody był zbyt niski. Patrzałam, jak bezradnie

przestępuje z nóżki na nóżkę i grucha z oburzeniem, wznosząc lebek do słońca. Był to jakby protest do Matki Natury przeciwko zbrodniczym wynalazkom człowieka.

Tej nocy miała być różowa pełnia księżyca. O 4:35. Miałam obejrzeć ją z dachu, ale zasnęłam. Nawet tego nie poczułam we śnie, jakie piękne widowisko mnie ominęło.

Bo czym dla śpiących jest ułuda księżycowej nocy?

Dni lecą i lecą. Wprowadzono jeszcze straszniejsze obostrzenia: nikt poniżej osiemnastki nie może wyjść z domu. Dlatego Amelia dryndnęła do Amaranta i wcześniej rano oboje wymknęli się do lasu i położyli się pod pączkującymi brzożami. Słońce waliło w sposób błogi – było wiosennie i nielegalnie. A z góry kapie na nas sok brzożowy jak złoty deszcz (na szczęście). Oto co Amelia wtedy napisała:

Przypadkowość świata

Wzniosłe Wzgórze

Św. Anzelm uważał, że jednym z postulatów istnienia Boga jest doskonałość świata; harmonia praw Natury, które tak idealnie się ze sobą zazębiają.

Profesor Kaptur, ten skończony ateista, roześmiał się pobłażliwie.

– Świat jest przypadkowy, Amelka. Przypadkowość ewolucji, przypadkowość mechaniki kwantowej tzn. Mikroświata, fale Broglia... Cechuje ona także ludzi; ich postępowanie i losy. Predestynacja jest kołodziejową strefą komfortu, na pozór wygodną i bezpieczną, ale zgubną w istocie, bo prowadzi do całkowitej mentalnej niewoli. Z drugiej strony efekty motylków są trochę przerażające.

Leżymy pod pączkującymi brzożami. Słońce wali w sposób błogi – jest wiosennie i nielegalnie. A z góry kapie na nas sok brzożowy jak złoty deszcz (na szczęście).

Kolejny tydzień obfitował w przeżycia istotne:

1) Amelia postrzeliła się w stopę

2) dostała organki

Trudno stwierdzić, które z nich wywołało większe emocje.

1) – Z jednej strony to straszna plama na honorze, bo co za strzelec wypala sobie w stopę – mówiła – Ale z drugiej jestem fenomenem na skalę światową! Czy znasz jakąś inną dziewczynę, która przeżyła postrzał?

2) Pitagorejczycy kminili, że muzyka jest harmonią i matematyką, bo wyrażają ją stosunki liczbowe. Najlepiej można zdać sobie z tego sprawę, gdy gra się sonaty Beethovena; gdy ma się przed sobą jego kompozycje – rozkręcone i rozdlubane na metalowe części i skaczące nuty – dopiero wtedy czuć tę harmonię i można zrozumieć Pitagorejczyków.

Wielkanoc

(z pistoletem od Prezesika)

mam w rękę

uproszczony pocisk

który mnie w każdej chwili

wystrzeli w gwiazdy[3]

13. kwietnia ,20

Siedzę w oknie, które jest tuż przy ziemi i czuję zapach parującej ziemi. A pachnie duszyczkami deszczu; odurzająco, gorzko, fiołkowo, parmeńsko.

15. kwietnia ,20

Dzisiaj padał śnieg, a później tajał w polu „jak pobojuwisko białych, zabitych kobiet”.

„Twoje kieszenie to skarbnice wspomnień”, powiedział K. Dusza, kiedy wyjęłam z kieszeni: luskę, bańki mydlane, dwa cukierki, żołądzia i kasztany.

17. kwietnia ,20

Rybacówka

W czwartek wydano nowe rozporządzenie i teraz nie wolno wyjść z domu bez maseczki.

Tak więc siedzę w Parku na swojej świętej Ławce, a niebo otwiera się i biały puch kapie mi na głowę.

Ptaszki buczą niewidzialne, lecz wszechobecne, drzewa gną się i prężą zielenią w ich słodkich melodiach. A ja ubrana jestem w letnią sukienkę i białą maseczkę chirurgiczną. Oto są uroki epidemicznej wiosny!

Amelia była bykiem, wężem, owadem i amebą (Witkacy). Nie myślała, nie zdawała sobie sprawy z niczego i było to prawdziwe szczęście. Lecz... Co za szczęście? Czy nie wynika ono z bydlęcej nieświadomości, czy nie jest ono tchórzliwym i wygodnickim zamknięciem się w świńskim kręgu infantylności?

A co z posiadaniem silnych bebechów, co ze stawianiem czoła światu? Jak długo można tak uciekać?

Na dodatek Amelia zaczęła cierpieć, bo Amarant opuścił ją dla jej młodszego brata. Patrzyła z boku jak tamci dwoje łowią ryby, biją się i oddają się innym wielkim męskim zajęciom. Oto co o tym napisała:

The chrisim o womanhood

Budge will be always coming back to you. He finds something in your companionship Tad can't give him. He'll come for it, never fear. But you must share him with others. We--women--must always share.

No more pretending to like horrible things that squirmed. She was no longer a boy's rival. She stood on her own ground. „And I'll always be here for him to come back to,” she thought.[4]

Żadne inne słowa nie potrafią lepiej wyrazić „krzyżmu kobiecości”. Czy to właśnie Penelopa nie jest wzorcem i ideałem tych naszych cnót? Najchętniej rozszarpałabym tą świnię Odyseusza, że tak długo kazał jej na siebie czekać!

„Stał tam przez chwilę, patrząc na te same kamienie.

Tak – one były te same, wiecznie młode,
ale on był już kimś zupełnie innym.”

Gdy wracamy do miejsc, z których łączą nas obfitości wspomnień, lecz których idee (tzn. pierwowzory) skończyły się i nigdy już nie powrócą, dopada nas ten uroczysty, niemal świątobliwy nastrój; i zapada ta cisza. Cisza, która jest naszą wędrówką w krainę cieni, która zatapia nas w ciemną gęstą wodę-przeszłość w stawie.

*W jej głębi falują niemrawie
czyjeś dawno zatopione ramiona.
Stare szczęście, zimne rybnie ciało
drży, gdy błysk światła w głąb wpadnie.[5]*

Kalokagathia

Katowice

Helleni mieli rację – czcić należy zarówno umysł jak i ciało, a o rozwój tych dwóch należy dbać jednakowo (w przybliżeniu). Duch nie stoi ponad ciałem, bo ten pierwszy pragnie władzy, zemsty i siły, a ciało tylko kotleta (A. Kamińska).

Inaczej przedstawiają się sportsmeni, z których to „robi się największe chwały narodów” i których „idiotyczne rekordy zajmują tyle miejsca w gazecie, gdzie tego miejsca nie ma na poważną krytykę – bo ta, która jest to są bzdury – i na polemikę w kwestiach sztuki” (Witkacy).

Ale czy w sporcie nie ma czegoś bohaterskiego? Przecież polega on na nieustannej walce z samym sobą, a to jest najtrudniejszy rodzaj walki, a te „idiotyczne rekordy” są owocami ciężkiej pracy.

Toteż, jak mówił Tvardstrup, sport odrodzi ludzkość, która potrzebuje antidotum na złe uboczne skutki kultury. W sporcie jest przyszłość rasy ludzkiej...

Sokrates twierdził, że wszelkie zło wynika z niewiedzy. A Amelia przecież wiedziała, że podsłuchiwanie jest złe, a mimo to słuchała. A tak trudno jest się oprzeć, kiedy ktoś rozmawia o tobie! Ciocia Ania mówiła o kartce, którą dla nich zrobiła.

„Wiedziałam, że to Amelka, bo widziałam ją, jak grała w nogę na ulicy w samej halce!” Dziadzio machnął ręką.

„A, to jeszcze nic. Wczoraj w nocy jakiś wózek przytargała i zjeżdżała w nim z górki. Do tego jeszcze franca cały czas mi na komórkę włazi. Ale to dobrze, przynajmniej nie muszę robić stracha na wróble...”

„Ja raz widziałam, jak wyskoczyła na boso przez okno i poleciała przez płot. Podobno wzięła koc i poszła spać pod domem pani Zbyszewskiej. A wczoraj słyszałam, jak gra na fujarce... W piwnicy!” „Może zaklinała szczury?”

I tak rozmawiali.

Jako narratorzy musimy sprostować, aby nie wprowadzić w błąd naszych czytelników: Amelia nie spała pod domem p. Zbyszewskiej. Ona tylko oglądała bażanty, bo tam ich jest najwięcej.

maj, 20

Mysłowice, peron

Od kilku dni pada, a ja prawie nie wychodzę z domu. Nic mi się nie chce. Teraz dopiero widzę, jak ważny jest system, w którym podlegamy rutynie – mam na myśli szkołę, pracę czy inną organizację, która właśnie organizuje nasz czas i trzyma nas w ryzach.

O tym właśnie mówił Kaptur: „Teraz gdy odszedłem na emeryturę, myślałem, że będę miał czas na wszystko, a okazuje się, że mam go jeszcze mniej!” Co zrobić, kiedy nikt nas nie pilnuje i gdy praca zależy tylko od naszych chęci? Jak się do niej zmusić? Zdaje się, że ta kwarantanna to jeden wielki test siły woli.

Siedzę na opuszczonym peronie w Mysłowicach. Na stacji właśnie zatrzymał się „mknący rydwan wieczności”, jak to napisałam w nieudanym wierszu do nieudanego ukochanego.

Pociąg był czerwony i stary, ze skórzanymi fotelami wyściełanymi miękkimi poduszkami i z mosiężnymi obiciami (trasa Kraków Główny – Chałupki). Zatrzymał się, a drzwi otworzyły się tuż przede mną. Mój Boże, jaką miałam ochotę tam usiąść w skórzanym fotelu i odjechać daleko stąd! Dlaczego tego nie zrobiłam? Cóż, nie mam ze sobą ani pieniędzy ani telefonu, a moje marne doświadczenia lat szesnastu i pół nauczyły mnie, że choć szaleństwa na początku wydają się fajne, ich skutki mogą być katastrofalne.

A może jednak mogłam wsiąść? Carpe diem! Miałabym co opowiadać i wspominać...

Głos rozsądku zwyciężył. Ale może był to tak naprawdę strach przed nieznanym, tchórzostwo przed wygrzebaniem się ze swojego puklerza komfortu?

Nawet jeśli, to takie „puklerze” są potrzebne – inaczej zapewne wszyscy wyginęlibyśmy z własnej głupoty lub bylibyśmy zadłużeni u PKP Intercity!

Był 80. dzień kwarantanny. 80 dni! 80 dni zmarnowanych, z dala od życia, od liceum, strzelnicy, fizyki w Pałacu Młodzieży, zajęć reżyserskich w Plater, od życia socjal(demokratycz)nego i w ogóle od wszelkiej inten-

sywności: festiwali, koncertów, teatru, baletu, opery... Jednym słowem z dala od wszelkich przeżyć istotnych.

Gdy Amelia pomyśli, ilu wspaniałych przeżyć ją pozbawiono, a w jakiej monotonii zamiast tego zamknięto, skręca się z ohydy.

A skręca się, ponieważ jest młoda. Starcowi (tzn. dziadkom, cioci Danusi i panu Boczkowi) nie sprawia to różnicy. On wstaje rano i robi to, co zawsze: pije kawę, czyta gazetę, ogląda telewizję, drzemie... Kwarantanna może być dla nich trochę uciążliwa, ale to tylko ze względu na sklepowe kolejki i niewygodne maseczki.

Ale jaka to szkoda dla młodych, którzy są jak rudo-bura rwąca rzeka o postrzępionych brzegach (niegdyś był to czysty górski strumyk, teraz zabarwiony jest rdzą życia), którzy nieustannie zmieniają się i dla których każdy miesiąc lub nawet tydzień odgrywa istotną rolę w rozwoju!

Gdy powiedziała to Gosi, ta zdziwiła się.

– Tak uważasz? A może właśnie należałoby traktować izolację jako nowy bagaż doświadczeń? Nie rozpaczać nad utraconymi wielkimi chwilami, lecz odnaleźć szczęście w tych małych przyjemnościach codziennego życia?

Amelia zawstydziała się. Rzeczywiście tak należałoby czynić; wykorzystać ten czas na pracę i na konfrontację z samym sobą, na odnalezienie własnego „ja” i zmierzenie się z nim.

Może właśnie należałoby odkryć w sobie mądrość i dzielność, które pomogą nam znieść to wszystko z uśmiechem?

[1] Pawlikowska-Jasnorzewska – Być kwiatem?... Warszawa, 1996.

[2] A. Kamińska – Dziennik. Kraków, 1991.

[3] M. Pawlikowska-Jasnorzewska – Być kwiatem?... Warszawa, 1996.

[4] L. M. Montgomery – Magic for Marigold. Londyn, 1976.

[5] Pawlikowska-Jasnorzewska – Być kwiatem?... Warszawa, 1996.

Justyna Hyrczel, 17 lat
Godło: „Wisteria11”, Breń Osuchowski
2 miejsce ex aequo, proza młodzież

Tarta wiśniowa

Najważniejsza kobieta w życiu Cyryla to jego świętej pamięci babcia. Już od dziecka uczyła chłopaka, co jest istotne w życiu. Wedle jej nauk były to: szacunek, przebaczenie, cierpliwość i jedzenie. Cyryl przez całe swoje życie starał się postępować zgodnie z wartościami przekazanymi mu przez seniorkę. Jednak ostatnia, z pozoru najbanalniejsza zasada najbardziej wpisała mu się w serce. Przygotowywanie posiłków stało się dla niego czymś ważnym. Przerodziło się ono w pasję i wskaźnik miłości, bowiem uważał, że to dobra forma okazywania troski. Gdy kogoś kochasz wkładasz więcej serca w gotowanie posiłków. Dlaczego? Bo chcesz by osoba, którą darzysz tym uczuciem była szczęśliwa. Gotowanie, więc było dla niego miłością.

„Przez żołądek do serca” – było to ulubione przysłowie staruszki, a Cyryl traktował je z ogromną powagą. Już od dziecięcych lat pełno go było w kuchni. Fascynacja ta zaczęła się od niepozornej obserwacji krzątania się babci wśród garnków. Babcia, choć z początku nie była przekonana do jego chęci gotowania, zaczęła uczyć młodego podstaw. Pokazała mu jak obierać kartofle, smażyć jajko i zagotować wodę. Lecz to nie satysfakcjonowało dziwnie wysokich, jak na ośmiolatka ambicji. Dało to początek jego zabawom ze starym piekarnikiem Amica z naderwaną lampką, dyndającą nad rusztem. Wtedy to Cyryl pokochał pieczenie. Jego pierwsze ciasto, biszkoptowe nie było majstersztykiem, ale było zjadliwe. Ozdobili je z babcią masą krówkową, co sprawiło, że mało słodkie ciasto nabrało nieco wyrazistości. Smak ten, choć nie najlepszy stał się miłym wspomnieniem, które dało początek jego próbom kulinarnym i co za tym idzie, narodzinom pasji.

Chłopak łagodnym ruchem dłoni rozsmarował po metalowej formie masło zmiękczone przez promień słońca zaglądający zza firanki okna. Zaczął tworzyć tłuste szlaczki przypominające mu ślady, jakie rower lub nogi ciągnięte po ziemi bez unoszenia w powietrze zostawiają na śniegu.

Rozsmarował masło po całej powierzchni blachy, resztę zawinął w złotko i odłożył na blat.

Chłopak podszedł do lodówki, oklejonej ponad tuzinem pocztówek i magnesów tak, że nie było dobrze widać jej miętowego koloru. Otworzył drzwiczki i wyciągnął beżowe ciasto zawinięte w przezroczystą folię. Położył je na blacie, obok formy i miski pełnej rozmrożonych już wiśni.

Jednym okiem spoglądnął na piekarnik. Nadal się nagrzewał.

Wtedy jego ręce powróciły do ciasta. Delikatnymi i powolnymi ruchami palców uwolniły je z szeleszczącego więzienia. Ściągniętą folię odrzucił na bok, a placek ciasta ułożył na pergaminie. Jego prawa ręka chwyciła wałek do ciasta. Biorąc go za obie rączki zaczął rozpląszczać masę do 2 mm grubości. Po tej czynności chłopak zdjął pergamin i z ogromną delikatnością przeniósł ciasto do metalowej formy. Z niezwykłą starannością, a nawet finezją okleił plackiem całą blachę, łącznie z brzegami. Takie ciasto powędrowało do piekarnika, a on zaczął zajmować się nadzieiem. Czubatą miskę wiśni przesypał do emaliowanego, zielonego garnka, w którym to już uprzednio umieścił nieco babcinego dżemu. Tę miksturę zaczął powoli mieszać, dodając odrobinę soku z cytryny oraz cukier.

– Co tam kuchcisz? – usłyszał zza pleców.

Twarz chłopaka z początku pogodna nieco zrzędnęła. Za nim stał tata.

– Tartę – odparł krótko, nerwowo mieszając wiśniowe nadzieie.

– Ulubiona babci. Mam nadzieję że dasz mi trochę spróbować...

– Jasne – mruknął, nie odrywając spojrzenia od garnka. Czuł wzrok taty na swoich plecach, dlatego spięty kontynuował mieszanie.

Minęła długa chwila krępującej ciszy po której nastąpiło krótkie, lecz zawiedzione westchnięcie. Była to biała flaga od taty. Najpierw zaskrzypiał próg, a potem słychać było oddalające się kroki.

Spięte ramiona Cyryla opadły, a chłopak nadal wpatrzony w miksturę wiśniową przez chwilę rozmyślał nad swoim zachowaniem, szybko jednak zajął głowę kończeniem wypieku.

Wyłączył gaz pod gotującą się masą wiśniową i zostawił ją do ostygnięcia.

Rzucił krótkie spojrzenie na ciasto piekące się w piekarniku by sprawdzić jego stan, lecz było ono nadal dalekie od gotowości. Dlatego wyjął z lodówki szklany dzbanek z lemoniadą. Odstawił go na blat i otworzył górną szafkę, wyciągając z niej wysoką szklankę. Szybko napełnił ją

chłodnym płynem, tak że szklanka zaparowała. Chłopak przebiegł palcami po jej szkłe zostawiając węzowate szlaczki. Zamyślił się.

*

– Cyruś, pamiętaj tata jest nieco wolniejszy – powiedziała kiedyś babcia, gdy piekli karpatkę.

– Ale jesteś miła, babciu.

– Prawdę mówię, to szczerłość jest cechą najszlachetniejszą, Cyruś. Nie będę owijać w bawełnę, nawet jeżeli chodzi o mojego syna.

Oboje wpatrywali się w ciasto rosnące w piekarniku.

– I co to zmienia? Też jestem trochę flegmą.

Babcia klepnęła go po ramieniu.

– Oj, złotko, nie równasz się ślimakowatości twojego ojca!

Chłopak mimowolnie się uśmiechnął.

– Więc nie gniewaj się tak na niego, gdy coś mu dłużej schodzi.

Cyryl zmarszczył brwi.

– Czy ja kiedyś coś takiego zrobiłem?

– Nie, nie. To tak tylko zapobiegawczo.

Chłopak przymrużył oczy.

– Gadasz o szczerości a teraz mi tu kłamiesz. Chodzi ci o tę sprawę z zakładaniem emaila, prawda?

Babcia wzruszyła ramionami.

– Oj, bo Cyruś, ty jesteś moją jedyną słabością.

– Nie byłem aż taki nerwowy, gdy zakładaliśmy tego emaila.

– Jasne – mruknęła chwytając ścierkę w dłonie. Nachyliła się i otworzyła piekarnik, a gorące powietrze buchnęło w twarz obojga.

– Tata to ślamazara, rozumiem. Mam być miłszy i cierpliwszy, tak?

Babcia chwyciła metalową formę i odłożyła ją na blat.

– Spójrz na to ciasto.

Chłopak posłusznie nachylił się nad formą.

– Jadłeś już kiedyś karpatkę, więc wiesz jak kruche to ciasto. Krusi są też ludzie. Dlatego trzeba być dla nich miłym, a nie będą się za bardzo kruszyć.

– Myślałem, że kruchość jest plusem karpátky.

Cyryl dostał lekko z liścia w tył głowy tak, że od razu się wyprostował.

- A to za co? – wyskamlął masując tył głowy.
- Za niszczenie mojej alegorii.
- Po gadce o cierpliwości? Hipokrytka z ciebie babciu.
- Milcz i zobacz, jak ma się nasza masa.

Cyryl opuścił wspomnienie, gdy czerwona lampka piekarnika zgasła. Chłopak wyciągnął ciasto i oparł się o blat. Jednak nie czekał na wystygnięcie ciasta. Chciał jak najszybciej opuścić mieszkanie, więc pośpiesznie zaczął przelewać jeszcze ciepłe wiśniowe nadzienie do wnętrza formy. Szybko wygładził je łyżką i zawinął gotowe ciasto w ściereczkę i ruszył ku drzwiom. Szybko założył buty i ignorując głos ojca, pytający go gdzie idzie, trzasnął drzwiami.

Chłopak przekroczył metalowe bramy cmentarza i ruszył wąską ścieżką. Szedł tak kawałek omijając różnego rodzaju nagrobki, to większe to mniejsze, jedno z ciemnego i gładkiego marmuru, inne z uboższego kamienia o chropowatej powierzchni. Pod każdym spoczywał człowiek, którego historia została pogrzebana razem z nim. Po człowieku zostały jedynie ulotne wspomnienia. Chociaż niektóre nagrobki gołe, bez kwiatów czy choćby zniczy, zastanawiały – „czy aby na pewno każdy jest pamiętany i wspominany?”

Cyryl był pewny jednego, że dopóki żyje, nagrobek jego babci nigdy nie będzie pusty.

Kiedy doszedł do starej lipy skręcił i zatrzymał się przy czwartym grobie po prawej. Przykucnął i położył zawiniątko na brzegu grobu, podniósł się i złożył ręce do pacierza. Dał sobie czas na modlitwę, po czym się przeżegnał. Nachylił się, by zdjąć zieloną ściereczkę. Gest ten uwolnił ciepłą i słodką woń tarty.

- Cześć, babciu. Dziś twoje urodziny. Byłyby 88.

Chłopak westchnął smutno.

– Upiekłem tartę. Taką samą jak rok temu. Powiedziałaś, że ciasto było niedopieczone. Mam nadzieje, że dziś jest lepsze.

Chłopak cicho prychnął.

- Dziś jest pewnie przypalone, co?

– Może troszkę – Cyryl uśmiechnął się smętnie. – Ale nadzienie jest bombowe. Twój przepis.

Chłopak przykucnął i wyjął z kieszeni nożyk. Przyłożył go do kruchego ciasta, które delikatnie naciął. Pierwszy kawałek jest najgorszy.

Zazwyczaj wygląda najmniej korzystnie w porównaniu do reszty. Babcia mówiła, że prawdziwy kucharz musi umieć ukroić idealny pierwszy kawałek, dlatego Cyryl w skupieniu mocno przymrużył oczy, nacisnął na ostrze i pociągnął w stronę grobu. W ten sposób ukroił trójkątny kształt, który z delikatnością wyciągnął, by przyjrzeć się jak wygląda. Był jak z reklamy. Chłopak uśmiechnął się pod nosem.

– Nawet ty byłabyś dumna. Patrz jaka piękność. Ten jest dla ciebie – położył kawałek na ściereczce.

Chwycił nóż i ukroił kolejny. Ten był dla niego. Zawinał go między chusteczkę i przyłożył do ust. Wziął pierwszy kęs. Uderzyła go słodycz konfitury i wiśni. Przywołało to wspomnienie zawsze kończącego się bałaganem drylowania wiśni z babcią. Potem uderzył go smak lekko maślanego ciasta, był nieco podobny do ich pierwszego biszkopta. Po policzkach chłopaka popłynęły łzy.

– Cyryl? – usłyszał głos taty.

Prędko odwrócił głowę z nadal wypchanymi ciastem ustami.

– Tato, co ty tu robisz? – szybko wstał.

Jego ojciec podrapał się nerwowo w tył głowy.

– Wyszedłem za tobą.

– Śledziłeś mnie – ostro syknął w odpowiedzi.

– Nie, broń Boże, przynajmniej nie miałem takiej intencji. Ja tylko... Chciałem wiedzieć, gdzie niesiesz to ciasto.

Cyryl westchnął podirytowany.

– Zagadka rozwiązana – otarł łzy. – Możesz wracać do domu.

Tata Cyryla uśmiechnął się żałośnie i podszedł do syna.

– Cylek, musimy pogadać – stanął obok niego opuszczając wzrok na płytę nagrobka. –

Robiłem co mogłem.

– Stanie w szoku nie jest pomocne.

– Zadzwoń mi po karetkę

– Po wielu minutach mojego błagania i płaczu – burknął ze zdecydowaną goryczą.

– Ja... Myślisz, że mi to nie ciąży na sercu? Myślę o tym niemal co wieczór. Czemu stałem jak wryty? Czemu moje ręce trzęsły się bez opamiętania, a płacom tak ciężko było trafić właściwe cyfry, by zadzwonić po pogotowie? Co wieczór, Cyryl... Co wieczór o tym myślę.

– Ja jakoś sobie radziłem.

– Kochałem... Kocham twoją babcię, a moją matkę. Ta kobieta mnie wychowała. Lubię myśleć, że zrobiła to dobrze, ale w twoim przypadku jestem tego pewny.

Cyryl stał spięty ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Zrobiła.

Przez chwilę stali w milczeniu obserwując jak ciepło w formie pary opuszcza wypiek.

– Wygląda smacznie – rzucił tata.

Cyryl zmarszczył brwi, intensywnie myśląc.

– Mo... Możesz spróbować – burknął pod nosem, jakby od niechcenia.

Tata spojrzał nerwowo na syna, sprawdzając czy nie żartuje. Wtedy delikatnie się nachylił, wziął chusteczkę na którą nałożył kawałek tarty.

– Ładnie wygląda – powiedział niepewnie. Ugryzł kawałek i zaczął go przeżuwać.

– Cyryl, to jest pyszne – mruknął, biorąc kolejny gryz.

Cyryl zagryzł wewnątrz policzków, próbując powstrzymać uśmiech. Jednak nie mógł przed sobą ukrywać wewnętrznego uczucia satysfakcji i szczęścia, że jego praca została doceniona.

– Naprawdę dobre – powiedział, biorąc kolejny łapczywy kęs.

– Przestań już.

Tata dokończył kawałek tarty i oblizał palce.

– Pychota – dodał jeszcze. – Podobne do babcinego, może nawet lepsze, ale jej nie mów.

Chłopak chrząknął zakłopotany.

– Tak przed jej grobem?

– Ona zrobiłaby to samo.

– W sumie...

Wybaczenie? Jedną z nauk babci, która ostatnio najtrudniej wychodziła chłopakowi. Nadal czuł ogromną gorycz, lecz była ona jak masa kakaowa – potrzebowała nieco cukru, aby być idealną. A teraz można było powiedzieć, że wsypano do niej połowę tego specyfiku. A to już coś.

Mateusz Rymkiewicz, 14 lat

Godło: „Justus J”, Częstochowa

2 miejsce ex aequo, proza młodzież

Leniwe rozmyślanie

Leżę w moim nowiutkim łóżku i spoglądam przez okno. Widok mam cudowny: podwórko, a za nim jabłoniowy sad. Co prawda jabłka zostały już zerwane jednak uwagę przyciągają jesienne kolory. Myślę sobie, że ja to mam szczęście. Niesamowite obrazy – od kwitnących drzew po soczyste czerwone jabłka, a później mieniające się wielokolorowo liście. Spojrzałem na ściany pokoju idealnie komponujące się z widokiem zza okna. Dobrze, że kolory mogłem sam wybrać. Rodzice nawet specjalnie nie protestowali, kiedy zdecydowałem się na srebrno-szary kolor. Powiedzieli tylko, że ponoszę sam konsekwencje mojej decyzji, jeśli będę niezadowolony z efektu pokój muszę przemaalować za swoje pieniądze. Zgodziłem się. Wyszło tak, jak chciałem.

Skrzypnęły drzwi, do pokoju wszedł Marcin.

– O widzę bracie, że poległeś. Wstawaj, szkoda dnia idziemy nad rzekę. Adam i Paweł już szykują ognisko.

– Zupełnie zapomniałem.

– Odważny jesteś, u mnie nie przeszłyby takie kolory – Marcin omiół wzrokiem pokój Julka nie ukrywając podziwu.

– Wiesz, z jednej strony bałem się, że nie wyjdzie tak, jak chciałem, a z drugiej pomyślałem, co mi szkodzi zaryzykować, najwyżej odchudzę własny budżet.

– A rodzice? Kolory nieco odbiegające od standardu.

– Umówiliśmy się, że jak efekt będzie inny niż chciałem, to wyskakuję z kasy i sam maluję pokój. Ot, cała filozofia.

Ubierając się pomyślałem, że cieszę się z możliwości wyrażania własnego zdania, co prawda czasem nie obywa się bez lekkiej kłótni, ważne jest, że liczy się także moje zdanie. Co nie oznacza samowoli, tylko możliwość samorealizacji. Uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtych wydarzeń.

Dzień był ciepły. Szliśmy szybkim krokiem, niosąc plecaki wypełnione ziemniakami i kiełbasą rozsiewając przy tym kuszącą woń. To cud, że

żaden wygłodniały pies nas nie pogonił. Wzdłuż rzeki rozciągała się plaża, pełna amatorów leżakowania. Raz po raz ktoś wyciągał z wody piłkę, inny krzyczał oburzony ochlapaniem przez bawiące się na brzegu dzieci.

– Cześć chłopaki – powiedzieliśmy z Marcinem jednocześnie.

– Cześć, chodźcie do nas. Ognisko gotowe. Paweł z Julkiem rozłożą namiot i karimaty. My z Marcinem przygotowujemy kielbaski – powiedział Adam.

– Chcecie namiot z atrakcjami czy nie? – pokazałem palcem grupkę ciężko pracujących mrówek.

– Tylko spróbuj, a wrzucę ci piranię do spodni! – krzyknął Marcin.

Roześmialiśmy się.

Kończyłem wbijać śledzie, kiedy usłyszałem wrzask. Po drugiej stronie, na polanie mała dziewczynka robiła dosłownie to co chciała – biegała, rozrzucała swoje zabawki, przeszkadzała innym odpoczywającym, a nawet zdjęła ubranie. Dłuższą chwilę przyglądałem się temu, będąc ciekawy jak zareaguje mama dziecka. Jednorazowa interwencja spowodowała u dziecka złość i krzyk na mamę, która przestała w ogóle reagować.

– Ale artystka, drze się, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry – usłyszałem głos Pawła.

– Nikt jej nie nauczył, co wolno, a czego nie. Ciekaw jestem na kogo wyrośnie – odparłem.

– Myślisz, że postawienie granic byłyby rozwiązaniem?

– Mmmm, tak. Wiedziałyby na co może sobie pozwolić. Dzieci też powinny przestrzegać zasad i mieć obowiązki. Uważam, że mądrze postawione granice uczą szacunku do siebie i do innych. Namiot gotowy, idziemy.

Po chwili siedzieliśmy przy ognisku, ziemniaki dopiekały się w po-
piele, a kielbasy przyjemnie skwierczały w ogniu i o dziwo nie było ko-
marów. Gdzieś w oddali słychać było gwizdanie kosa.

– Zobaczcie, coś się rusza w trawie – powiedział Paweł.

Spojrzeliśmy przed siebie. Przed nami stał mały, rudy piesek.

– Mamy towarzysza do jedzenia. Chodź psinko – Paweł wyciągnął rękę w kierunku zwierzęcia. Rudy podszedł, obwąchawszy wszystkich po kolei położył się obok Pawła.

Najedzeni, położyliśmy się przy ognisku. Zaczęliśmy planować październikowy wypad w Góry Sowie połączony ze zwiedzaniem bunkrów ponemieckich. Liczyliśmy, że rodzice pozwolą nam na samodzielną

wyprawę. Miało być jeszcze ciepło, dlatego marzyło nam się spanie pod namiotem. Należało jeszcze przekonać do tego rodziców.

– Powiedzmy im wprost, żeby dali nam się wykazać. Pieniądze mamy, pracowaliśmy całe wakacje, nie muszą nam dokładać – zaproponował Adam.

– Moich rodziców i tak nie ma przez całe dni, pewnie nawet nie zauważą, że mnie nie będzie – westchnął Marcin.

– A ja jak nie utknę w gąszczu pytań, to pojedę. A ty Julek? – zapytał Paweł.

– Nie powinienem mieć problemów. Pewnie podyskutujemy, wiecie te wszystkie za i przeciw, ale bogatszy o kilka rad pojedę – powiedziałem z uśmiechem.

Tak jakoś sama z siebie rozwinęła się rozmowa na temat młodzieńczej wolności.

– Czasem nie rozumiem dorosłych, dlaczego ograniczają nam prawo do własnego zdania narzucając własną wolę bez jakiegokolwiek dyskusji.

– Adam, dzieci coraz częściej wykrzykują swoje prawa nie respektując obowiązków. Może o to chodzi. Widziałeś dzisiaj akcję na polanie? Mała zrobiła niezły show, a jej mama? Jak struś schowała głowę w piasek, zero reakcji – powiedziałem.

– Dziecko musi być wewnętrznie wolne, co oznacza możliwość samodzielnego podejmowania decyzji, oczywiście ze wsparciem dorosłych, ale bez narzucania przez nich własnego rozwiązania.

– Taaak, Marcinku i robi to co chce. Wszyscy chyba by zwariowali.

– Dlaczego? – powiedziałem. – Czytaliśmy przecież „Stowarzyszenie umarłych poetów”. Pamiętacie jak Neil Perry odkrył, że ma prawo do realizacji własnych marzeń na przekór rodzicom tłumiących jego pasję? Dostając rolę w przedstawieniu „Sen nocy letniej” poczuł się wolny, spełniony, szczęśliwy.

– I się zabił. Też mi wolność. Żałosne – mruknął Paweł.

– Nie zgadzam się z tym. Był odważny. Sztuką było postawić się despotycznemu ojcu, który go ograniczał narzucając swoją wolę i wybrać własną. Gdyby wypracowali kompromis, nie doszło by do tragedii.

– Julek, w jakim ty żyjesz świecie? Ojciec tyran i kompromis. Masz przykład Ulki. Za jej plecami rodzice zmienili jej szkołę. I co, zadowolona jest? Ciągle się kłóć. Zagroziła, że wyprowadzi się z domu.

– Przecież mamy prawo popełniać błędy, inaczej nie nauczymy się życia. Widziałeś mój pokój. Wiesz jakiego miałem stracha podczas malowania? Cały czas zastanawiałem się, co by się stało, gdybym kolory ścian w pokoju wybrał źle i efekt końcowy byłby okropny? Musiałbym pomalować pokój z własnego budżetu. A potem, czy następnym razem mógłbym sam zdecydować jaki kolor wybrać, czy rodzice narzuciliby mi go z góry bez możliwości zmiany? I wiesz co? Po prostu porozmawialiśmy, tak normalnie, bez tupania nogami.

– No, a inni byliby uczciwi. Znów wracamy do tych nieszczęsnych granic. Przypomniał mi się Igor. Znalazł na korytarzu w szkole pendrive, wiedział do kogo należy, jednak nie zamierzał zwrócić go właścicielowi. Mimo, że jego obowiązkiem było oddanie rzeczy osobie do której ona należy. Zachował się nieuczciwie – powiedział Adam.

– Przecież go oddał.

– Paweł, ale zrobił to dlatego, że Antek powiedział głośno i wyraźnie: „znalazłeś – oddaj”. Dobrze wiesz, że nie chodzi tu o żadne męczeństwo, tylko o konsekwencje – odparłem.

Zrobiła się noc, ciepła noc, dzięki pełni księżyca nadal było jasno, a my mogliśmy siedzieć i rozmawiać przy dogasającym ogniu. Słychać było tylko brzęczenie jakiejś zabłąkanej muchy. Doszliśmy do wniosku, że prawa i obowiązki muszą się równoważyć, a każde dziecko musi mieć oparcie w dorosłych, że nie jesteśmy ich kopiami, mamy własne odczucia, marzenia. Owszem, niech dorośli wyznaczają nam granice, mądre granice, a wtedy nauczymy się życia. Nawet, jak będziemy popełniać błędy, nikt nas nie będzie krytykował, tylko da szansę na poprawę. Mając własne zdanie nauczymy się mądrze dyskutować.

Pomyślałem, że muszę pogadać z Ulką.

Było około północy, kiedy poszliśmy spać. Rudy wkleił się między mnie, a Antka.

– Masz szczęście, bo grzejesz – mruknąłem do niego.

Wszystko byłoby idealnie, gdyby nie ...

W ciszy mglistego poranka rozgrywała się mroząca krew w żyłach scena.

– Marcin dawaj jeszcze trochę, zobaczysz jaki odstawi taniec. Hi hi...

Pudełko czerwonych, niecierpliwie wiercących się owadów powędrowało do rąk Antka. Chłopiec szybkim ruchem otworzył pudełko, wysypując jego zawartość na śpiącego.

– Rany, co się stało? – Paweł wyskoczył z namiotu jak z procy drapiąc się po całym ciele. – Ale swędzi!

– Ha ha...Hi hi... – chłopcy pokładali się ze śmiechu.

Zdezorientowany Paweł, wymachując rękami wskoczył do rzeki, mając nadzieję, że zimna woda uwolni go od mrówek. A one wychodziły spod koszulki, łążyły po twarzy i rękach, wcale nie mając zamiaru opuszczać swojej ofiary.

– Zanurkuj! One nie lubią wody! – krzyknął Antek

Po kilku próbach zanurzenia się w lodowatej wodzie, chłopiec uwolnił się od owadów, ale jego twarz, no cóż, została lekko mówiąc potraktowana mrówczym całusem. Była czerwona niczym burak.

– Ale mnie urządziliście...

Zbudzony hałasem wyszedłem z namiotu.

– O, jest i Julek. Śpisz, jak suseł, ominęła cię niezła akcja – roześmiał się Marcin.

– No tak, wszystko jasne, mrówki. Ja chyba też przy okazji coś dostałem – odparłem zdejmując garść mówek z grzywki i drapiąc się po czole.

– Prawie jak „Park Jurajski”. Paweł, darłeś się, jakby cię obsiadło stado pterozaurów – powiedział Marcin.

Wybuchliśmy śmiechem.

Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu. Stare przysłowie. Nie ma jak własne łóżko – pomyślałem. Zasypiałem, kiedy otworzyły się drzwi do pokoju.

– Julek, słyszałam, że dobrze się bawiliście nad rzeką. Nie chcecie wybrać się gdzieś dalej?

– O czym ty mówisz mamo?

– Chyba już czas na samodzielne wyprawy... Oczywiście bez robienia głupot – mama puściła oczko. – Słyszałam o Górach Sowich, możesz jechać.

– Dziękuję – odparłem zdziwiony.

Dobrze, że w moim domu są ustalone granice i prawa, że mogę liczyć na rodziców. Dzięki temu, że nigdy nie doświadczyłem chorobliwej krytyki, kontroli czy nadopiekuńczości z ich strony, mogę teraz cieszyć się wyjazdem z kolegami. Kwestia wzajemnego zaufania i oczywiście granic. Pomyślałem, jak smutne jest to, że niektórym dorosłym często wydaje się, iż mogą zawładnąć naszą wolą, niszcząc całą energię, marzenia. Tylko skąd mama wiedziała o planowanej wyprawie?

Mr... Rudy z mruknięciem, trzymając w pysku mapę wskoczył na łóżko, moszcząc się na kocu.

Zapomniałem dodać, że go przygarnąłem. No tak, wszystko jasne.
Zdrajca

Uśmiechnąłem się.



Małgorzata Toporska, 15 lat
Godło: „Dzika Róża”, Poznań
Wyróżnienie, proza młodzież

Aż się wypali

Zapaliła papierosa.

Siedziała samotnie na kanapie i rozglądała się po salonie pełnym wielkich mebli. Skórzany zestaw wypoczynkowy, kredens z ciemnego drewna z wystawką alkoholu i ceramiki, zegar z kurantem, stół na dwadzieścia osób, komoda, stolik kawowy.

Tylko ona taka mała. Póki jeszcze był, trzymała się. Biegała, śmiała się, „załatwiała”. Załatwiała lekarza, nowy lek, pieniądze na podnośnik, pionizator. Przez dziesięć lat żyła tylko tym. A przedtem, przed tym, jak po raz pierwszy zgubił drogę do domu, też żyła w sumie tylko nim. No i dziećmi, jak jeszcze z nimi mieszkali.

Nie wiedziała kim teraz jest. Co robiła zawsze o tej porze, co robiła na przykład cztery dni temu? Prawdopodobnie karmiła go. A teraz, co ma robić? Może pooglądać telewizję. Ale co się o tej porze ogląda? Nie wie, zawsze oglądała w nocy, gdy spał.

Strząsnęła popiół.

Podeszła do okna.

Był marzec, więc ogród dopiero się budził do życia. Na wietrze delikatnie bujała się huśtawka. Kupiła ją, bo ciężko mu było chodzić, a nie mógł siedzieć całymi dniami w domu. Jej wnuczki całkiem ją lubiły. Nie bywały co prawda u niej często, ale jak już były, to zawsze tam biegły. Znaczy nie dzisiaj. Dzisiaj były już duże. Najmłodsza miała dwanaście lat. Pamiętała, jak jeszcze uczyła się chodzić. On też ją uczył. Uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Usłyszała w głowie jego głos: „Kita, patrz, jakie ma śliczne uszka! Jakie małeńkie!”. Kita. Zawsze mówił do niej Kita. A ona do niego Kitek.

Strząsnęła popiół.

Odwróciła się od okna i spojrzała na skórzany fotel przykryty sztuczną owczą skórą. Zawsze tam siedział.

Coś trzasnęło na dworze, wyrwało ją z transu.

Nie ma co tak stać, trzeba coś zrobić. Spodnie! Tak, trzeba mu zacerować spodnie od piżamy. Ale... Po co?

Usiadła i poczuła łzy pod zaciśniętymi powiekami.

Przez ostatnie trzy dni trzymała się. Trzeba było tyle rzeczy pozafatwiać. Pogrzeb, stypa... Nie płakała. Znaczą trochę tak, ale tylko trochę. Gdy pielęgniarka ze smutkiem zwiesiła głowę, gdy spojrzała na swoje dzieci, które płakały patrząc na trumnę spuszczaną do grobu. Ale na stypie musiała się trzymać, potem gdy wieczorem piła wino z koleżanką też. Niby była po to, by ją wspierać, ale ona nie mogła być przy niej szczerą. Nie można obarczać innych swoimi problemami. Czasem trochę pomarudzić – nie grzech, ale bez przesady.

Strząsnęła popiół.

Wstała i wyszła z pokoju. Na schodach – winda krzeselkowa. Jak jeszcze był mobilny, to dochodził jakoś do tej windy, potem go puszczała i na dole powolutku szli do fotela. Siadał w fotelu i wstawał dopiero na posiłek.

Uśmiechnęła się do siebie. Był z niego słodki pamper, zawsze kłamał, że jeszcze nie jadł podwieczorku, i nie miało to żadnego związku z chorobą, bo podwieczorku nie pamiętał już kiedy jeszcze wszystko kojarzył bez problemu. Pogłaskała skórzane oparcie windy.

Strząsnęła popiół.

Weszła po schodach.

Na wprost jej pokój, na prawo jego. Weszła do tego drugiego. Na ścianie krzyż. Nie uchronił go... Przez chwilę, chwileczkę, poczuła w sobie okropne uczucie złości na Boga.

Nie.

Matka nie tak Cię wychowała. Nie tak. Twoja matka straciła synka, straciła męża, przeżyła dwie wojny, a i tak w autobiografii o Bogu pisała tylko dobrze. I z tobą tak będzie.

Będiesz wierna Bogu, tak, by po śmierci trafić do męża. Bo on na pewno tam jest. I czeka. Już zaraz, Kitek. Już zaraz.

Zgasiła papierosa.

Maciej Serżysko, 15 lat

Godło: „Woodstock”, Witkowo

Wyróżnienie, proza młodzież

Niecodzienne rozwiązanie

– Może elektrownia w Żarnowcu? To dość blisko – zaproponował pan Boguś.

– Jak nam niby pomoże elektrownia wodna? – przewodnicząca Józia nie kryła zdziwienia pomysłem kolegi.

– Nie wodna. Jądrowa. Postraszymy ludzi wyciekami z żarnowskiego reaktora i nikt tu wtedy nie przyjedzie.

– Pragnę zauważyć, że tej elektrowni nigdy nie ukończono, a reaktory poszły na złom. Nie ma żadnego źródła potencjalnego skażenia – przypomniał wiceprzewodniczący Jürgen, który choć nosił niemieckie imię, to w jego żyłach płynęła biało-czerwona krew. Lekarz wykonujący mu badania zdziwił się wielce i zdziwiłby się też zapewne cały świat, ale dotąd przełomowy artykuł naukowy pana doktora odrzucały wszystkie poważne wydawnictwa, sugerując kontakt z redakcją „Zagadkowych Tajemnic” lub z psychiatrą.

– Skoro ludzie wierzą w płaską ziemię i obietnice wyborcze, to dlaczego nie nabiorą się na Żarnobyl? – Boguś uparcie bronił swego pomysłu.

– Wiesz, że do Czarnobyla też jeżdżą wycieczki? Gdy ogłosimy, że mamy wyciek z reaktora, z całej Europy ściągną nam tu nie tylko żądni wrażeń i zdjęć w internecie turyści, ale też ekolodzy, dziennikarze i delegacja z Brukseli.

Wszyscy zamilkli. Nadzwyczajna sesja Rady Gminy Gniewino przeciągnęła się do godzin nocnych. Zegar wybił wpół do jedenastej, należało jednak pamiętać, że znacznie się spóźnił. Mimo to, wybrani z woli ludu grodzdziejczy, mężnie stawiali czoła nadciągającemu zagrożeniu, jak i własnym słabościom.

– Panie i panowie – wójt ziewnął, czując, jak zmęczenie rozchodzi się po jego ciele i umyśle. – To jest po prostu niemożliwe, by nic się

nie dało zrobić! Wirus rozprzestrzenia się po kraju w zastraszającym tempie, a jednocześnie powraca ruch turystyczny. W naszej gminie nie odnotowano dotąd żadnego zakażenia, ale to na pewno zmieni się, gdy na Pomorze naciągnie fala turystów. Wystarczy jeden, który nie stosował się do zaleceń, by nasze trudy się zmarnowały!

– Panie wójcie, to są sprawy oczywiste, jednak nim przejdziemy do konkretów pozwolę sobie na krótkie podsumowanie ostatnich... – radna Józia spojrzała na zegar i jęknęła cicho. – ...Siedmiu godzin. Koronawirus panoszy się po Polsce, lecz nasi karni mieszkańcy stosowali się do wszelkich wymogów i pozostali zdrowi. Musimy więc znaleźć sposób na ochronę ich przed potencjalnie zakażonymi turystami, jednocześnie nie zamykając całego Gniewina, bo wtedy nasza gospodarka pójdzie w rozsypkę. Nie mamy żadnych realnych pomysłów. Ktoś chce coś jeszcze dodać?

– Może zamknijmy po prostu wieżę widokową? – Boguś zostawił swój najlepszy pomysł na sam koniec. Wiedział, że należy zacząć od trzęsienia ziemi, a potem napięcie ma nieprzerwanie rosnać i tak też poprowadził dzisiejszą sesję obrad. Wpierw zaproponował, by odciąć wszystkie drogi obsadzając je oddziałami myśliwych, teraz natomiast sugerował rozwiązanie może i ostateczne, ale z jego punktu widzenia sensowne. Jak się okazało, tylko z jego.

– Panie Bogusławie... – Jürgen pokręcił głową z dezaprobatą. – Czy wyobraża pan sobie, by Paryż zamknął Wieżę Eiffla? Albo Rzym Koloseum? Nigdy! Jeśli zamkniemy, to całą Polskę. Tak długo, jak nasze Kaszubskie Oko pozostaje otwarte, tak długo z wiarą patrzymy w przyszłość! To nasz symbol wolności, której nie damy sobie odebrać. Prędzej szkołę zamkniemy, niżli wirusowi wieżę oddamy!

Na drugim krańcu stołu poruszył się niewyraźny, skryty w cieniu kształt. Troje radnych i wójt drgnęło nerwowo. Zbliżyła się północ, o tej porze mogły się aktywizować różne duchy... Pani Józia potarła czoło, Boguś chrząknął.

Kształt chrząknął głośniejsze.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Znów zapomnieli o radnym Janku, który zawsze zasiadał w ciemnym kącie, zapewne przez skromność nie pchając się na plan pierwszy i z rzadka zabierając głos. Teraz nadeszła taka właśnie wiekopomna chwila.

– Jest rada na wasze bolączki – Janek nie czuł przynależności do wspólnoty. – Pomóc wam mogą tylko stolemy.

Każdy Kaszub wiedział, że jego ziemię zamieszkiwała przed wiekami rasa olbrzymów zwana stolemami. Zależnie od przekazu, byli oni gnębielami lub dobrodziejami ludzkości – niezmienny był jedynie fakt ich unicestwienia. Nietrudno było się więc dziwić zdumieniu włodarzy Gniewina, gdy usłyszeli, by szukać wymarłych, mitycznych gigantów.

– Ależ panie Janku kochany, przecież stołemy wyginęły przed wiekami! A w ogóle to one są z bajek – uściślił szybko wójt, nie chcąc być podejrzanym o wiarę w mityczne stwory. Wystarczyło, że przed laty wyraził żal, że kosmici ominęli Gniewino i wylądowali w Wylatowie i zanim wyłumaczył, że ufoludki byłyby doskonałym magnesem przyciągającym turystów, a przy okazji można by też zadbać o tężyznę fizyczną młodzieży, wyciskającej nocami tajemnicze kręgi w zbożu, oraz o miejscowych budowlanców, którzy mogliby wynajmować podnośnik spragnionym widoku lądowiska z góry, stał się obiektem kpin. Nie chciał ponownie narazić się na złośliwe komentarze.

– Co w takim razie zrobimy? Jeśli nie ma innych pomysłów to może jednak wykorzystamy te stołemy? – zapytała pani Józia, spoglądając na zdeorientowanych współpracowników.

*

– Zbliżcie się, przybysze. Bez strachu, bliżej, podejście do mnie!

Na polanie płonęły cztery ogniska będące jedynymi źródłami światła. Otaczały one wyrzeźbiony przez zaprzyjaźnionego stolarza czterogłowy posąg. A w zasadzie cztery posągi, sklejone w jeden. Wokół niego krążył bosy staruszek w zwiewnej, szarej szacie, zlewającej się z długą, siwą brodą. Na głowie miał kwietny wianek, a w rękę zielony badylek. Woźny Benio naprawdę mocno przeżył odejście na emeryturę.

– Witaj, źerco – wójt pokłonił się przed kapłanem, po czym wyjął z reklamówki słoik miodu i chleb Pięć ziaren, dar spółdzielni piekarskiej, które wręczył pogańskiemu kapłanowi.

– Po cóż nachodzicie moją samotnię, hm? – rodzimowierca przyjął dary, po czym cisnął je do najbliższego ogniska. Uniósł ręce ku niebu i wykrzyknął: – O wielki Świątowidzie, użycz mi swej mądrości, bym mógł odpowiedzieć na pytania tych, którzy łakną wiedzy! Sława ci, o Świątowidzie!

– Możemy już? – wychylił się z krzaków Jürgen.

– Mówcie, bogowie was wysłuchają – uprzejmie zgodził się Spitosław, w cywilu pan Benio.

Wójt westchnął, wciąż zdumiony, że dał się na to wszystko namówić, i streścił sytuację, w jakiej znalazła się gmina. Próba pogodzenia troski o zdrowie mieszkańców z pragnieniem zabezpieczenia ich sytuacji materialnej wymagała największych poświęceń.

Żerca słuchał w skupieniu, co pewien czas wzdychając ciężko. W końcu przerwał urzędnikowi gestem ręki, po czym sięgnął za posąg, wydobywając z chaszczy skórzaną sakwę. Wójt i radny wymienili spojrzenia, a Spitosław przymknął oczy, pogmerał w torbie i wyjął z niej pięć kawałków jeleniego rogu zapisanych runami. Przez kilka minut mrucał jakąś modlitwę, której słów nawet on sam nie mógł zrozumieć, następnie spojrzał na swoich gości i wyszeptał:

– Stolemy zechcą wam pomóc, jednak musicie się z nimi porozumieć.

– Naprawdę?! – Jürgen nie krył zdumienia. – To one nie wyginęły?

– Nie. Po prostu odkąd ludzie napłynęli na te ziemie i było ich zbyt wielu, stolemy zdecydowali się ukrywać. Albo zdecydowały? Mniejsza z tym. Nie chciały, by przybysze uczynili z nich niewolników, a to wydawało się nieuniknione, bo olbrzymom trudno się skryć w leśnej gęstwinie. Wskutek presji selektywnej zwiększała się przeżywalność mniejszych osobników, a gatunek uległ procesowi skarlłowacenia. – Żerca pokijał mądrze głową, a wójt przypomniał sobie, że przecież razem zdawali przed laty maturę. Beniowi zabrakło wtedy punktów za pochodzenie klasowe, by dostać się na studia biologiczne.

– A jak możemy się z nimi skontaktować? – zapytał.

– Istnieje tylko jedna metoda, stosowana od stuleci. Najpierw potrzebny wam będzie dąb, co najmniej stuletni... Tylko pamiętajcie, by w pobliżu nie rósł żaden jesion! Stolemy poczują się tym urażone i możecie spodziewać się ich gniewu...

*

Kochane stolemy!

– *Nie, to chyba zbyt osobista forma – pani Józia wyjęła kolejną kartkę i napisała:*

Wielce szanowne stolemy!

– Zbyt sztywno. Muszą poczuć z nami braterstwo, by ulitowały się nad biednymi współpracami. – Jürgen przechwycił pióro. Wyrwanie go dzięki czapli nie wchodziło w rachubę, a po wyprawie do Muzeum Przyrodniczego podobizny członków Rady znalazły się na tablicy, na której wieszano informację o gościach, których nie wolno wpuszczać do

obiektu. Przykre, ale czego nie robi się dla ratowania ludzkości?

Drogie stołemy!

– Stołemy z dużej, czy małej? – Boguś podrapał się po głowie.

– To nazwa gatunkowa, więc chyba z małej – wójt nie był tego taki pewien.

– Może jednak warto byłoby wyrazić szacunek? I czy do was też piszą kartki świąteczne zaadresowane „Szanowni ludzie”? – oburzyła się pani Józia. – Zrobimy tak...

Szanowni Państwo!

*

Pierwsze promienie słońca wschodziły nad Gniewinem. Wójt był tak zaspany, że niemal nie odczuwał zmęczenia. Ostatni raz czuł się tak po studniówce. Trzy razy obszedł dąb z atlasem drzew w dłoni, by upewnić się, że dookoła nie ma żadnych jesionów. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj nie wiedział, jak wygląda jesion! Wyjął z kieszeni płaszcza taśmę klejącą i przytwierdził do pnia kopertę. Miał nadzieję, że taśma wytrzyma, kupił tę droższą. Niczego nie zamierzał do pnia przybijać, bo to nieekologiczne. Następnie rozejrzał się nerwowo, sprawdzając, czy nikt go nie zobaczył i oddalił się pospiesznie. Na szczęście w lesie panowała cisza, nawet grzybiarze jeszcze spali. Zresztą panująca susza nie sprzyjała tak emocjonującym rozrywkom i większość zapaleńców przekwalifikowała się na wędkowanie.

– Do czego to doszło... – wójt westchnął ciężko. – Żebym musiał wzywać stołemy na pomoc do walki z pandemią...

Rozumiał, że to nie tak powinno wyglądać. Rozumiał, że naraża się na śmieszność. Jednak czuł, że wobec zagrożenia, z którym nie radzą sobie najtęższe umysły świata i największe imperia współczesności, należy sięgnąć po każdą, nawet najbardziej niezwykłą deskę ratunku. Czy jednak powinien posuwać się aż tak daleko? Był przecież odpowiedzialnym wójtem, a Gniewino przetrwało tyle wojen, zaraz i katastrof! Jego mieszkańcy i tym razem na pewno poradzą sobie w walce z niewidzialnym wrogiem – staną ramię w ramię, choć z zachowaniem dystansu, i zwyciężą kolejnego przeciwnika. „Nikt nie złamie mieszkańców gminy Gniewino” pomyślał.

– Nikt! – powiedział głośno i poderwał się z ławki, czując w sobie przypływ siły. Nie pozwoli, by ktokolwiek znalazł ten hańbiący list! Zabierze go, by nie wpadł w ręce przechodniów. Dadzą sobie radę, bez

pomocy nieistniejących olbrzymów. Że też dał się omamić woźnemu, to na pewno przez to nocne posiedzenie rady, zmęczenie wzięło górę, nie myślał jasno...

Dobiegł do drzewa, odlepił taśmę kodując w pamięci, aby dokupić jeszcze kilka rolek, bo trzymała się mocno i zabrał list. Ucieszył się, że zdążył, gdy kątem oka dostrzegł jeszcze jedną kopertę. Czyżby jednak ktoś widział go i zrobił sobie żarty z wójta? Czy stanie się teraz gwiazdą Internetu? Poczul spływającą po plecach strużkę potu, serce kołatało mu nerwowo. Szarpnął papier, a może raczej pergamin? Papier nie był to na pewno, a dotykał kiedyś czegoś podobnego, na szkolnej wycieczce, gdy nikt nie widział...

Ze środka koperty wypadła biała kartka. Wójt parsknął, zły, że ktoś sobie z niego kpi. Już miał ją zmiąć, gdy pod wpływem słonecznych promieni pojawiły się na niej złociste litery.

– *Szanowna Rado Gminy Gniewino* – odczytał nagłówek zapisany pochyłym, bardzo archaicznym pismem.

Pod długim tekstem materializował się podpis:

Z wyrazami sympatii – Stołemy.

SPIS TREŚCI

Protokół Komisji Konkursowej	4
------------------------------------	---

POEZJA DOROŚLI

Urszula Lewartowicz	6
Janusz Pyziński	9
Krzysztof Przegiętka	12
Agata Oriana Kwahs	15
Adrian Dworakowski	19
Alicja Lampa	22
Edyta Wysocka	23
Jerzy Fryckowski	24
Rafał Baron	25
Agnieszka Marzec	26
Monika Borkowska-Szmit	26
Olgierd Wąsowicz	28
Krystyna Czarnecka	29
Anna Piliszewska	30
Tomasz Albecki	31

PROZA DOROŚLI

Adam Jarosław Baliczek	32
Tomasz Figiel	37
Szymon Kulig	42
Paweł Fleszar	46
Dorota Bukowska	55
Maria Polaczek	63

POEZJA MŁODZIEŻ

Karolina Majorowska	66
Mikołaj Ślemp	70

Anna Wojno	73
Dominika Liszkiewicz	76

PROZA MŁODZIEŻ

Amelia Izabella Chwist	77
Justyna Hyrczel.....	86
Mateusz Rymkiewicz	92
Małgorzata Toporska.....	98
Maciej Serżysko.....	100

